Nr. 27 (1175). Warszawa, dnia 21 Czerwca (4 Lipca) 1903 r. Rok XXIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50, rocznie rb. 10.
Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Adres: Sadowa Nr. 14.

Redaktor przyjmuje interesantów we wtorki i czwartki od godz. 4 do 5 popołudniu.
Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odebrać, w przeciągu sześciu miesięcy, osobiście w Redakcyi lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.
Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz wszystkie księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.

POLITYKA.

Nowy król w Białogrodzie.

Chmury, które zbierały się już nad Serbią po-aleksandrową i obranym przez nią królem, szczęśliwie i dla Serbii i dla króla jakoś się rozeszły — bez burzy, a nawet bez deszczu. Wroga postawa ogółu tej dyplomacyi podlejszego gatunku, która w Białogrodzie może grać tylko role komparsów przy dwu rzeczywiście działających dyplomatach: cesarsko-rosyjskim, p. Czarykowie, i austryacko-węgierskim, p. Dumbie, okazała się w skutkach lekkim tylko czerwcowym obłoczkiem, odbijającym się nie bez pewnego malowniczego wdzięku od ponurej nocy z dnia 10 na 11 czerwca. Niebezpieczeństwo dla nowego porządku rzeczywiście było i groziło mu niemożnością utrwalenia się; ale przyszły okoliczności nieznane, które kiedyś dopiero historya odsłoni, i, jak w sztuce szekspirowskiej, wszystko do radosnego końca doprowadziły. Zdaje się, że głównym czynnikiem nagłej pogody była obawa o równowagę bałkańską wraz z uznaniem doby obecnej za nieodpowiednią jeszcze do działania, rozstrzygnąć mającego i o losie ludów i o panowaniu Turcyi i o stanowisku Austro-Węgier na Bałkanach. Ostatecznie, Serbia ma króla, król Serbią, a Europa pokój. Obejmowanie tronu przez Piotra I rozpoczęło się jeszcze w Genewie, gdyż, d. 21 czerwca, prezes senatu Welimirowicz, na czele dyplomacyi kupczyny wręczał elektowi protokół posiedzenia z d. 15 t. m. Nazajutrz wieczorem król wyjechał do Białogrodu, krótszą i przyzwoitszą od wiedeńskiej drogą na Innspruk; d. 24 czerwca zrana stanął w Białogrodzie, gdzie już na dworcu kolejowym powitano go, jak króla. Dwaj tylko posłowie zagraniczni byli przy tem obecni; angielski Bouhan, wyjechał nawet z Białogrodu — ale niedaleko.

Obecność obu przedstawicieli dwu jedynych państw, mających interesa w Serbii, mogących przeto mieć zamiar, przekonania i wolę w sprawach serbskich — rozstrzygnęła odrazu o tronie Piotra I i pokoju na Bałkanach. Niepokojący jeszcze w d. 22 z. m. artykuł *Narodnego Listu* z żałością po królu Aleksandrze; charakterystyczna pogarda okazana oficerom serbskim przez publiczność w Petersburgu; nota jeszcze w d. 20 z. m. nadesłana tymczasowemu ministrowi spraw zagranicznych Kaljewiczowi przez owego p. Bouhana; postanowienie wszystkich podrzędnych dyplomatów w Białogrodzie, — aby nie zadawać się z królem — utraciły odrazu swe żądła. Gdy Rosya i Austrya dały uznanie nowemu porządkowi rzeczy — niewiele już dbać mógł o Europę i naród i król i rozum stanu Serbów. Pomimo wspomnianego tu artykułu dziennika *Prawit. Wiestnik* uznanie przez Rosyę jest tak wyraźne, że nietylko samo nie przedstawia żadnych wątpliwości, ale pozwala już dziś zarysować się w dalszym rozwoju swym jako przeważający nad austryackim wpływ na rząd serbski. Cesarz Wilhelm ucieszył się już z objęcia tronu przez Piotra I, a Serbii złożył życzenia pokoju i postępu; nie czekał nawet dnia, telegramem swoim zbudził nowego króla w nocy z d. 25 na 26. Rzeczpospolita Francuska również nadesłała swe uznanie. Porta poszła tam, gdzie widziała już Rosyę i Austryę zgodnie działające. Książe Ferdynand — podobno zrazu silnie wzburzony ujmą wyrządzoną samej idei monarchicznej — po otrzymaniu zawiadomienia o nowem panowaniu nadesłał telegram serdeczny. Opór Anglii już mięknie; jest telegram o prywatnej audyencyi Bouhana u nowego króla. Pogodzi się z położeniem Rumunia, pogodzi i Grecya. Włochy odosobnione mogłyby wytrwać dłużej, gdyby książę Czarnogórski wystąpił nieprzyjaźnie, ale na to się nie zanosi. Hiszpania nie ma nic do powiedzenia Serbii.

Nowy król pokazuje się narodowi i Europie dotychczas z jednej tylko strony — chce jak największej popularności. Skupczynie przyrzeka rządy według prawa i wspólne z narodem ideały, wojsko nazywa nadzieją Serbii, studentów nawet odpowiedziami zaszczyca i przypomina im, że sam był studentem; pierwszego dnia pobytu po południu przejeżdżał się po mieście bez wszelkiej eskorty, jakby po Genewie; ministrów, składających rząd tymczasowy, pod tym samym sterem, Awakumowicza, zatrzymał nadal. Jaki ma rzeczywiście program rządów; do którego pochyla się stronnictwa; czy wogóle wie, jak rządzić, a choćby tylko panować; czy zrobił już wybór między stronnictwami; czy ustalił już w sobie należyty psychologiczny stosunek swej indywidualności człowieczej do indywidualności monarchiczno - konstytucyjnej — są to same zagadki, a rozwiązanie może się jeszcze dostać nie jemu samemu, ale innym, przedewszystkiem ludziom, którzy go na tron wprowadzili. Serbia na mocy uchwały skupczyny z d. 16 czerwca rządzona być ma przez konstytucyę milanowską z r. 1889 (styczeń nowego stylu). Konstytucya ta zostawia dużo swobody przedstawicielom narodu i ministrom, z których czyni również, tylko w odmiennej funkcyi—przedstawicieli narodu. Konstytucyjność byłaby twardą dla człowieka silnego. Byłby niewątpliwy pożytek, gdyby

nowy król kochał się w żołnierzach i dbał o armię. Ale jego dotychczasowe studya naukowo-ekonomiczne nie popierają przypuszczenia, chociaż zamiłowanie w wojskowości przydałoby się jednocześnie Serbii, mającej armię wielce zaniedbaną przez Aleksandra. Gdyby król rzeczywiście zajął się wojskiem, owa „nadzieja," którą je powitał, nie byłaby czczym tylko dźwiękiem Bez wojska dobrego przy ogólnej ruchawce kłócących się z sobą ludów bałkańskich Serbia musiałaby przy wielkiej biesiadzie politycznej na Bałkanach zasiąść na szarym końcu, a jeszcze gorszym mógłby być los samej dynastyi Karadżeordżewiczów.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Wybory uzupełniające, odbyte na terytoryum politycznem Niemiec d. 25 z. m., wzmocniły jeszcze tryumf pierwszego dnia walki, odniesiony przez socyalistów i Polaków: pierwszych będzie w sejmie 81 zamiast 58, drugich 16 zamiast 14. Wzrosły też i liczby głosujących w obu tych okręgach; w polskim od roku 1871 ze 176,000 do 285,000. Na zgromadzeniu wyborczem w Bytomiu policya ochraniając centrowców, natarła na Polaków: jeden zabity, wielu ranionych. Ogólny skład sejmu Rzeszy: centrum 100, socyaliści 81, zachowawcy 52, liberalni narodowcy 51, „Freisinnige Volkspartei" 20, „Reichspartei" 19, Polacy 16, „Freizinnige Vereinigung" 10, „Alzatczycy" 9, drobiazg niemiecki 26. Bezwyznaniowców politycznych jest 10. W dwóch okręgach nie było jeszcze wyborów do 25 z. m.

Cesarz Wilhelm zapłonął znowu krasomówstwem. W końcu maja miał w Döberitz dwie mowy; w końcu czerwca kazał je w wojsku rozpowszechniać, a w dziennikach ogłosić. W pierwszej sławi Fryderyka II, którego nowy pomnik dał pochop do mów; w drugiej ubolewa nad małostkowością niemiecką przed Bismarckiem; w obu pobrzękuje pałaszem i wzywa do gotowości bojowej (*Schlagfertigkeit*). Hohenzollerny czuwały zawsze nad Niemcami. Fryderyk już założył kamień węgielny, a na tym kamieniu Wilhelm Wielki zbudował państwo. Niemiec wpada albo w melancholię, albo w chełpliwość; biegunem stałości mogła być dla niego jedynie armia pruska. Dziś armia w Niemczech jest i wspaniałą instytucyą narodową i wyborną szkołą dla młodzi. „Wy to, moi panowie, jesteście wychowawcami narodu" — zawołał cesarz do generałów, których tak nagły awans zadziwić musiał. Z takimi wychowawcami w takiej szkole, tu na ziemi, a tam w górze ze sprzymierzeńcem — wielkim sprzymierzeńcem — Niemcy nie mają się czego obawiać. Na zakończenie postawił cesarz generałom swym przed oczy figurkę Dessauczyka z czasów fryderykowskich. Ciekawe!

I p. Bülowowi również język zaświerzbił. Bydgoszcz dała mu świeżo obywatelstwo honorowe. D. 26 z. m. wypadło mu za nie podziękować. Burmistrz Knobloch, wręczając dyplom, nie zawahał się powiedzieć, że nawet „Prusacy polskiej narodowości" oceniają zasługi kanclerza. Bülow w te pędy dosiadł rumaka zasług ogólnie pruskich. Bydgoszcz jakoby założyli krzyżacy, do rozkwitu doprowadzili Niemcy, a do ruiny — Polacy. Dzisiejszej swej polityki będzie się rząd trzymał i na przyszłość. Walka dziejowa z Polakami nie jest robotą z dnia na dzień; długiego na nią potrzeba czasu; ale „wróg nasz na Wschodzie" ostatecznie ulegnie: niech tylko „Niemcy nadal pracują cierpliwie a odważnie," Dobrą odprawę daje i historykowi i mówcy *Nowa Reforma*.

W Izbie gmin Camperdown zażądał od Lansdowne'a złożenia korespondencyi z Niemcami o cła kanadyjskie. Minister przyrzekł korespondencyę złożyć w ciągu dni kilku; do d. 28 z. m. przyrzeczenia nie spełnił. Anglia mocno niepokoi się układem rządu rosyjskiego z Towarzystwem żeglugi w Odesie. Ma ono teraz urządzić stałe połączenie handlowe z zatoką Perską; otrzymuje za to zwrot opłat suezkich i 200,000 rb. rocznego zasiłku. Edward VII jest bardzo zawzięty na Serbów: poseł jego w Białogrodzie przewodniczył innym europejskim w zerwaniu stosunków.

Khuen-Hederwary po wielu bezdrożach wyszedł nareszcie na szeroki gościniec, utworzył gabinet. Nie udało mu się w ostatniej chwili zyskać Festeticza (dwór), ale pozyskał: Kolozwarego na miejsce Feyervarego (wojskowość) i Tomaszyca na miejsce Csetra (Kroacya). Inni ministrowie zostają. Niedługi będzie żywot nowego dzieciątka węgiersko-habsburskiego rozumu stanu. W Chorwacyi znowu krew.

Izby wiedeńskie po wybraniu delegacyi odroczono. Z wyjątkiem wszechniemców wszyscy inni Niemcy w Izbie zawarli z sobą związek parlamentarny.

Król Alfons zjechał do Kartageny. Odwiedziły go floty rosyjska, angielka, francuska, portugalska nawet; szczególniej wyróżniał król Francuzów.

Drugie ministeryum Zanardellego kuleje: na miejsca Giolittiego i Bettola nie znalazł się nikt chętny; sprawy wewnętrzne bierze sam prezes, marynarkę — Morin, marynarz z powołania, minister spr. zagr. z urzędu. Dnia 14 z. m. Izba dała nowemu gabinetowi votum zaufania.

Zmarł (20 z. m.) kard. Vaughan, arcybiskup Westminsteru.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z nad Warty i Odry.

Wybory główne. — Nowy sojusznik. — W Westfalii. — Ogólne wyniki. — Na Mazowszu Pruskiem. — Nadużycia. — Na Warmii. — Walka kościoła katolickiego z Polakami. — Protesty przeciwko listowi kardynała Koppa.

Piszę ten list w przededniu wyborów ściślejszych, które do pewnego stopnia zmienią wyniki wyborów głównych w paru okręgach polskich dzielnic Prus. Oceniając więc zwycięztwa, czy też porażki wyborcze różnych stronnictw, uwzględniam rezultat głosowania z dnia 16 czerwca.

Już wybory główne pokazały, że liczba głosów polskich w parlamencie Rzeszy nie zostanie uszczuploną, gdyż odrazu wybrano tylu posłów, ilu ich było poprzednio. Z wymienionych w ostatnim liście kandydatów zostali wybrani następujący posłowie w zupełnie pewnych dziesięciu okręgach Poznańskiego: dr. B. Chrzanowski, L. Grabski, dr. W. Skarżyński; dr. J. Krzy-

---

12)

Wacław Sieroszewski.

POWRÓT,

POWIEŚĆ.

Blizkość kresu pobudzała ich. Nawet Indor spieszył się i na innych pokrzykiwał.

— Aby prędzej!.. Żywo chłopcy!.. Wyciągnijcie żyły... Marnota jesteście!.. Spieszno mi rozstać się z wami... Nie wiem nawet, dlaczego was nie rzucę... Dziś jeszcze byłbym w szynku!.. Ale zgłupiałem od pobytu wśród takiej cnoty i nie mam już żadnej szczerej chęci...

— Pewno coś znaczy i ten rubelek, który na przystani dostaniesz od Damiana — wtrącił ironicznie Majdaniarz.

— I to racya, choć nie na długo go starczy w takiem przepaścistem miejscu... Wiadomo na Witymie pieniądz od rubla się zaczyna... On tam niby grosz!.. Ech, wy, wy, niedoludki!.. Gdybyście byli mądrzy... Jeszcze czas: szkutę na skały i hajda!.. Napewno wiozą złoto... Zgoda? Co?

Spojrzał na Majdaniarza.

— A czy widziałeś ich złoto? — spytał ten. — Widzisz: nie widziałeś. Znowu możesz trafić na dziurawą portmonetkę... Wiadomo, fantowy jesteś!.. Ale każdy ma swoje wyrachowanie...

— Może i inni go mają...

— To powiedz!

Stary zbój zmrużył oko.

— Skoryś... młodo umrzesz!

— Już mię śmierć moja ominęła!— śmiał się Indor.

On dał za wygrane „hersztom" i zwrócił się do „kobyłki." Gadał na uboczu z Żyganami, zaczepiał Achmeta, nawet Niemca.

Nadeszła noc ostatnia.

Karski spał twardo snem bez widzeń, z którego przebudzenie sprawia wrażenie powrotu z innego świata. Ktoś go mocno szarpnął za rękę. Otworzył wreszcie oczy i zdziwiła go przedewszystkiem głęboka ciemność.

— Co, jeszcze noc?.. O co chodzi?..

— Stefanie! Stefanie!.. Wstawaj! Oni naradzają się! oni zaraz przyjdą!.. Oni zaraz przyjdą... oto nóż!.. Słyszysz, idą... Wszyscy zginiemy!.. Nie chcę zginąć w tej ziemi okrutnej... Kraju chcę, kraju!.. Słyszysz, jak szepcąc, skradają się?.. Płyną, płyną— szeptała pani Anna, nie przestając męża za rękę szarpać!

Ten zerwał się, usiadł i pilnie nasłuchiwał. Istotnie, płynęły wokoło jakieś gwary, szepty i westchnienia.

— To woda, Anno! Uspokój się!..— rzekł wreszcie, wsłuchawszy się w ich ryk.

— Ach nie, nie, ty nie wiesz!.. Ja ci nie mówiłam... To oni!.. Oni tak dziwnie spoglądają na mnie... Ich wielu... Płyną z rękami opuszczonemi na dół... Nie mogę dłużej, nie mogę... Kiedyż nastąpi koniec tej męki!.. Słuchaj!.. Pst!.. Znowu!.. Czy nie słyszałeś?..

— Ależ nic! To barka skrzypnęła, kołysze nas... Zapal światło, Anno!..—uspokajał Karski żonę, sam hamując z trudnością dreszcz zimny.

— Światła — nigdy!.. Zobaczą nas łatwiej... wyśledzą przez szparę... A my nie dostrzeżemy ich w ciemności... Wyciągną... nagle... krwawe szpony...

Chwytała męża za ręce, ale Karski otrząsnął się energicznie i zapalił świecę. Gdy dostrzegł żonę w bieliźnie, z rozwianym włosam i wyszłemi z orbit oczami, stuloną w rogu budy, z nożem w zaciśniętej pięści, włos mu się też z przerażenia zjeżył.

— Co tobie, kochana?..

— Nie wiem! Boję się, tak się boję, że chyba umrę...

— Nie masz się czego lękać. Wszyscy śpią, a jutro... będziemy w Maczy,.. Może ci zagotować herbaty?..

— Dobrze by było! — odrzekła, przychodząc do siebie. — Ale ty nie wychodź!.. Przysięgam ci, że ktoś tu chodził... Czasami czuję wprost, że jakieś straszne objęcia wyciągają się w ciemnościach ku nam... Jakieś postacie siadają, jak zmory, koło nas i duszą za gardło... Na nic błaganie... Syna oszczędźcie, syna!.. Co winne wam

miński, dr. A. Chłapowski, ks. F. Radziwiłł, J. Głębocki, J. Mycielski, ks. Jażdżewski. Zdobyli też odrazu dwa okręgi wątpliwe, w których zwyciężyli: hr. M. Mielżyński (szamotulsko - międzyrzecko - obornicko-skwierzyński) i dr. L. Czarliński (szubińsko-wyrzyński). Właściwie tylko w dwóch okręgach Poznańskiego wybrano odrazu Niemców, w bydgoskim i babimojsko-międzyrzeckim. W dwóch zaś kandydaci polscy, ks. Gajowiecki i ks. Mojzykiewicz, idą do wyborów ściślejszych — nie bez widoków powodzenia, zwłaszcza w okręgu wschowsko-leszczyńskim. (Obaj przepadli, wybrani Niemcy, konserwatyści: Zindler i Schmidt. *Przyp. Red.*). Na razie więc „stan posiadania“ zachowany w zupełności, a jest możliwość jego rozszerzenia.

Tak samo udało się zachować stan posiadania i w trzech okręgach Prus Zachodnich. W okręgu kościewskim został wybrany ks. Wł. Wolszlegier, w kartuskim — Janta-Połczyński, a w chojnicko-tuchowskim — L. Czarliński, Ponieważ ten ostatni został wybrany jednocześnie i w Poznańskiem, przeto złoży mandat zachodnio-pruski, jako zdobyty w całkiem pewnym okręgu i zatrzyma szubińsko-wyrzyński. Do wyborów ściślejszych idą w Prusach Zachodnich następujący posłowie: w okręgu toruńsko-chełmińskim Jan Brejski (wybrany, *Red.*) (przeciwko narodowo-liberalnemu dyrektorowi sądu z Torunia — Grossmanowi); w okręgu człuchowsko-złotowskim dr. R. Komierowski (przepadł) przeciwko antysemicie Bocklerowi; w okręgu świeckim Sas Jaworski (przepadł) przeciwko wolnokonserwatyście Holtzemu; w okr. brodnicko-grudziądzkim W. Kulerski (przepadł) przeciwko narodownmu liberałowi Siegowi. Dwóch z tych kandydatów posiada całkiem poważne widoki, trzeci też nie jest ich pozbawiony.

Gorzej poszło na Górnym Śląsku. Ani jeden kandydat narodowo-demokratycznego Towarzystwa wyborczego nie przeszedł odrazu, co zresztą było do przewidzenia. Ale do wyborów ściślejszych idzie zaledwie dwóch polskich narodowców — Korfanty i Kowalczyk—pierwszy w katowicko-zabrskim, drugi w pszczyńsko-rybnickim, czego się mało kto spodziewał. (Kowalczyk przepadł. *Red.*).

Charakterystyczne, że w kilku okręgach po raz pierwszy wybór kandydata polskiego jest uzależniony od decyzyi socyalistów. Tak np. główny przywódca demokratów narodowych na Górnym Śląsku, Korfanty, tylko wówczas zwycięży, jeśli oddadzą nań swe głosy wszyscy ci, którzy przy wyborze głównym głosowali na siedzącego obecnie w więzieniu Fr. Morawskiego (przeszło 10 tys. głosów). Toż samo prawie jest i w okr. pszczyńsko-rybnickim, gdzie socyaliści mogą do pewnego stopnia dopomódz do zwycięztwa drugiemu z redaktorów *Górnoślązaka*, dr. Kowalczykowi. Nawet w Prusach Zachodnich wybór trzech kandydatów polskich — Kulerskiego, Jaworskiego i Brejskiego — zależy od tego, czy będą na nich głosowali socyaliści. Natomiast dotychczasowy „sprzymierzeniec“ Polaków, centrum, tylko w jednym okręgu Poznańskiego rozstrzyga na korzyść kandydata polskiego, mianowicie w leszczyńsko - wschowskim. (Wybrany Niemiec, Schmidt).

To uzależnienie kandydatów polskich w większości okręgów niepewnych od głosów socyalistycznych jest bardzo wymowną wskazówką na przyszłość, gdzie reprezentacya polska w parlamencie będzie musiała — wbrew własnej woli—szukać sojuszników po ostatecznem zerwaniu z centrum. Właściwie to zerwanie jest obecnie faktem dokonanym, koszta jego zapłacili już przy tych wyborach centrowcy w Westfalii.

Otóż, w okręgu Dortmund-Hörde, gdzie dotychczas przechodził centrowiec, dzięki głosowaniu Polaków za kandydatami centrum, obecnie centrowcy nie idą nawet do ściślejszego głosowania, ponieważ samodzielny kandydat polski oderwał kandydatowi niemiecko-centrowemu aż 2,708 głosów. Wskutek tego centrum znalazło się w trzeciem miejscu i wybory ściślejsze odbędą się pomiędzy liberałem a socyalistą. Jeszcze więcej głosów kandydatowi centrum odebrał dr. Józef Chociszewski (kandydat polski na wszystkie okręgi westfalskie) w okr. Bochum-Gelsenkirchen-Hattlingen, bo aż 7,183, wskutek czego wybory ściślejsze odbędą się bez udziału centrowców. Trzeci okręg westfalski, stracony przez centrum, to Mühlheim - Duisburg-Ruhrort, gdzie p. Chociszewski otrzymał 2,705 głosów. Co prawda, we wszystkich tych okręgach, dzięki samodzielnemu wystąpieniu Polaków, zwyciężył liberał, ale stanowczo lepszym jest otwarty wróg nasz barwy narodowo-liberalnej od zakapturzonego hakatysty-klerykała, udającego przyjaciela Polaków i zdradzającego ich na każdym kroku.

Jeśli będziemy zapatrywali się na wynik głosowania z 16 czerwca z wyłącznie narodowego punktu widzenia, to musimy przyjść (jeśli nie będziemy brali pod uwagę Górnego Śląska) do wniosków optymistycznych. Polacy nietylko nie stracili żadnego mandatu w Poznańskiem i Prusach Zachodnich, nietylko mają nadzieję pomnożenia, już zdobytych, ale mogą wykazać olbrzymi wzrost głosów, oddanych na kandydatów polskich. We wszystkich bez wyjątku okręgach liczba tych głosów podniosła się o 1,000—3,000. Na Górnym Śląsku na kandydatów narodowo-demokratycznych padło, co prawda, 40,000 głosów, ale jest to stanowczo za mało, jeśli zważymy, jak energiczną agitacyę prowadzili zwolennicy *Górnoślązaka*. Tymczasem Korfanty otrzymał zaledwie o jakie 1,500 głosów więcej od kandydata socyalistycznego, którego demokraci narodowi traktowali jako *quantité negligeable*. Mało tego—w okręgu bytomskim kandydat socyalistyczny otrzymał o 3,400 głosów więcej od demokraty narodowego, Stęślickiego, który nie idzie nawet do wyborów ściślejszych. A już prawdziwym skandalem jest wybór ponowny hr. Ballestrema w gliwickiem, gdzie demokrata narodowy, p. Siemianowski, otrzymał prawie dwa razy mniej głosów, niż butny magnat, radzący „bić Polaków po pysku.“ Co prawda, zwycięztwo Ballestrema należy przypisać w znacznej mierze nadużyciom centrowców (z powodu tych nadużyć wniesiono nawet protest przeciwko wyborom w gliwickiem), ale w każdym razie wyjście Ballestrema odrazu, bez wyborów ściślejszych nawet, jest jednym z dowodów nizkiego poziomu uświadomienia narodowego mas górnośląskich.

Wybory na Mazowszu wschodnio-pruskiem wypadły niepomyślnie, gdyż w jedynym okręgu, w którym stawał samodzielny kandydat polski (szczytnieńsko-lądzborskim), padło nań tylko 3,900 głosów (w r. 1898 — 6,000). Zresztą tym razem nie prowadzono na zaniedbanem Mazowszu żadnej szerszej agitacyi, kiedy w r. 1898 istniała jeszcze, bądź co bądź, *Gazeta Lu-*

---

małe dzieciątko... ono maluchne... ono was nie wyda... Oszczędźcie mu życia... Może kto ulituje się i wychowa go... Patrzcie, jak się do was uśmiecha... Nie kładźcie grubych paluchów na jego główkę... on ma kości cieniuchne... — znowu poczęła bredzić.

— Ocknij się, Anno... On tu... śpi... Nikogo niema, prócz nas... Co za okropna noc! — szeptał bezradnie Karski, tuląc ją i pieszcząc.

— Ach tak, tak... okropna noc... Były i przedtem... ale spałeś zawsze tak smacznie, taki byłeś spracowany... Słuchaj! Przestań pomagać im!.. Niech świat się wali... aby do kraju!

— Dobrze, dobrze! Jutro ostatni dzień... We dnie przecież się nie boisz...

— Boję się, teraz wciąż się boję, gdy ciebie niema!..

— Dobrze. Ubierz się. Pójdziemy na dziób szkuty, rozpalimy ogień... Niedługo świt... Oleś może tu zostać spokojnie...

Anna wahała się.

— Dobrze! — zgodziła się wreszcie, skupiając resztę rozsądku.

Wyszli na mostek sterniczy.

Gęsta, mleczna mgła szczelnie otulała statek. Brzegów widać nie było. Nawet maszt statku ledwie zarysowywał się na prześwietlonych poświatą księżyca oparach. Spodem szumiały niewidzialne nurty i chwilami na krótko przez niewiadome w tumanach szczeliny prześlizgiwał się blask miesięczny i kreślił drżące smugi na biegnącej wodzie... Naówczas wydawało się, że statek płynie w obłokach, gdzieś ponad światami, po wstęgach światłości.

Na dziobie płonęło nikłe światełko.

— Czy nie lepiej, żebym sam poszedł i sam postawił imbryk... Zaczekaj chwileczkę!..

— Nie! nie! — powtarzała, nie wypuszczając jego ręki.

Ostrożnie przeszli po skrzypiących deskach. Miarowy oddech śpiących słychać było wyraźnie po za płótnem budy. Anna uspokoiła się prawie zupełnie. Nie dostrzegła, że gdy mijali robotników, obszycie uniosło się cokolwiek i z ciemności wyjrzała para błyszczących oczów. Widział to Karski, ale nie nadał temu wielkiego znaczenia.

— Obudziliśmy ich!.. — pomyślał.

Wtem Anna, która szła naprzód, drgnęła i cofnęła się: u ogniska siedziała mglista, mistyczna postać...

Był to Koźma. Przybycie Karskich nie zdziwiło go bynajmniej, owszem, przyjął ich, jakby na nich czekał.

— Ach, to wy! Siadajcie, będzie weselej!.. Też nie sypiacie!?.. Widziałem nieraz, jak paliliście światło... Ja spać nie mogę... Myślący jestem... Wciąż myślę... Różne rzeczy do głowy przychodzą i spać nie mogę... Dzięki Bogu już koniec, jutro dojdziemy... Aby tylko dopisała pogoda, bo wiatr coś się tłucze w opokach!.. Słyszycie?..

Dźwięki głuche, żałosne przeleciały górą nad nimi, jak stado spłoszonych ptaków. Twarz Anny rozjaśniła się. — To wiatr! — rzekła radośnie.— Nie mogłabym być marynarzem!

Popijali herbatę do świtu, gwarząc o tem i o owem. Starzec rozgadał się i opowiadał o przygodach, o radościach i smutkach życia na rzece. Gdy Karscy wrócili do siebie, Anna usnęła niezwłocznie, uspokojona zupełnie, a Stefan przespał się jeszcze z godzinę.

Na warudze do Koźmy przyłączył się zbudzony Guran.

X.

Wstał dzień szary i wietrzny. Poniżej szybko płynących chmur, w wąwozach rzeki tłukły się z hałasem wiatr i fale. W niektórych załamach pęd powietrza takiej nabierał wściekłości, że holownicy ledwie mu mogli podołać. Pochyliwszy głowy, szli z zamkniętemi oczyma, bodąc nieprzyjaciela. Guran nie krył trwogi.

— Nic nie widać... Łuszczy się i łuszczy, a czy się łuszczy od mielizny, czy od wiatru... Bóg raczy wiedzieć!.. Radziłbym poczekać!..

Ale holownicy słyszeć o tem nie chcieli. Woleli raczej, aby Guran dodał im ciężaru, puszczając statek dalej od brzegu. Dnia tego wszyscy byli w ruchu: i Damian, i nawet kupcy, wyjąwszy starego Bryłkina.

Mimo to zaledwie pod wieczór przybyli do ostatniej niebezpiecznej skały, którą musieli obejść. Opoka wrzynała się w sam

dowa w Ełku, która rozchodziła się dość szeroko. A polski kandydat mógłby zwyciężyć na Mazowszu w jednym, albo nawet w paru okręgach tylko wówczas, gdyby tam prowadzono przez kilka lat co najmniej pracę uświadamiającą. Doraźna agitacya wyborcza nie może przynieść trwałych wyników ze względu na specyalne warunki, panujące w tym zakątku Prus. Całym ruchem wyborczym kieruje na Mazowszu landrat wraz ze wszystkimi urzędnikami, od niego zależnymi, aż do policyanta i sołtysa. Po wsiach ogłasza się urzędowo, że wolno wybierać tylko kandydata konserwatywnego. Każdy właściciel szynku i hotelu musi obowiązkowo należeć do konserwatywnego towarzystwa wyborczei płacić składki. Z tych składek w ciągu pięciolecia, oddzielającego jedne wybory od drugich, gromadzi się bardzo znaczny kapitał na cele agitacyi wyborczej, a raczej na cele przekupywania wyborców. Wszystkim gospodarzom, niebędącym stronnikami partyi konserwatywnej, zagrożono wypowiedzeniem pożyczek z powiatowej kasy oszczędności w razie, gdyby głosowali przeciwko kandydatowi konserwatywnemu. Wszystkim robotnikom przy tartakach zagrożono wydaleniem w razie głosowania na Polaka. Kandydat polski, p. Lewandowski z Poznania, nietylko nigdzie nie mógł urządzić zebrania, ale nawet nie mógł nocować w żadnym hotelu, bo się go lękano przyjąć w obawie przed policyą. Nawet na ulicy kandydat polski nie był pewny całości swej osoby, gdyż go otaczała zgraja naganiaczów niemieckich. We wszystkich komisyach wyborczych przewodniczącymi i zastępcami przewodniczących byli nauczyciele, słynący ze swej nienawiści do wszystkiego, co polskie. Gospodarze wsi, stojących po stronie kandydata polskiego, musieli głosować w karczmie (nie w szkole, jak inni), gdzie piwo i wódka lały się strumieniami. Wogóle każdy Mazur, oświadczający się za konserwatystą, mógł pić, ile się zmieści. Pomimo to wszystko konserwatyści wydali jeszcze 25 odezw antipolskich, pełnych najwstrętniejszych bredni o Polakach, ponieważ nie byli pewni swego. Panuje powszechne przekonanie, że komisye wyborcze skradły znaczną liczbę głosów polskich i dodały sporo głosów niemiecko-konserwatywnych.

Nadużyć wogóle było dużo, ale naturalnie głównie tam, gdzie ludność jest mało jeszcze uświadomiona politycznie. Był też i nacisk z góry. Celowali w tem nauczyciele i księża. Prawdziwe orgie pod tym względem wyprawiało duchowieństwo katolickie na Górnym Śląsku i w Warmii, idąc za rozkazem swego zwierzchnika, kardynała Koppa.

W okręgu olsztyńsko - neszelskim na Warmii, gdzie ze strony polskiej kandydował p. Sas Jaworski, księża rozdawali odezwy, wydane w imieniu... papieża, przeciwko kandydatowi polskiemu, straszyli lud polski wszelkimi sposobami i tumanili go, jak mogli. Zwyciężył kanonik ks. Hirschberg, centrowiec, otrzymawszy o 1,025 głosów więcej, niż przy poprzednich wyborach, gdy głosy polskie zmniejszyły się liczebnie o 1,226.

Na Górnym Śląsku kler katolicki walczył przeciwko kandydatom polskim z całą zapamiętałością. O liście kardynała Koppa pisał już kolega Niemojewski, nie będę więc tej sprawy poruszał, tem bardziej, że się najzupełniej godzę na wyciągnięte przezeń wnioski. Ciekawe, jaki użytek zrobili księża z listu swego kierownika. Oto w pewnej parafii proboszcz oświadczył, że zaprzestanie kazań, jeśli znaczna część jego parafian będzie głosowała przeciwko centrum. W innych okolicach księża tłomaczyli dzieciom szkolnym, że powinny nakłonić rodziców do głosowania za centrowcami, gdyż inaczej dusze ich — dzieci — i dusze ich ojców pójdą wprost do piekła. *Głos Śląski*, organ p. Siemianowskiego — kontrkandydata hr. Ballestrema— otrzymał przeszło pięćdziesiąt listów jednobrzmiących, nadesłanych mu przez prenumeratorów. Treść ich następująca:

„Jak się dowiedziałem, abonujesz Pan gazetę polską *Głos śląski.* Gazeta ta jest wrogiem wiary i kościoła. Żaden katolik, żaden dom katolicki czytać jej nie może. Proszę Pana równie serdecznie, jak usilnie, ażebyś ją natychmiast z domu swego wydalił, ponieważ jest ona dla Pana i rodziny Pańskiej trucizną. Gdybyś Pan nie uczynił zadość mojej prośbie, z którą się do Pana zwracam jako przyjaciel i proboszcz miejscowy, natenczas — jakkolwiek z ciężkiem sercem — będę musiał pana wykluczyć od przyjęcia Sakramentów świętych. Proboszcz (podpis),“

Ta agitacya antipolska z ambon, prowadzona z niesłychanym fanatyzmem przez księży centrowców, wywołała straszne oburzenie nawet w tych kołach, które dotychczas były najzupełniej uległe księżom. Mieliśmy podczas walki wyborczej na Śląsku do czynienia z faktami wprost nieprawdopodobnymi. Oto parafianie szuraniem nogami, pomrukiem niezadowolenia i nawet wychodzeniem z kościołów odpowiadali na agitacyę z ambon. Któżby coś podobnego mógł przypuszczać jeszcze przed 3—4 laty. Zrobiła to wyraźnie antipolska i germanizatorska postawa kleru górnośląskiego. Stosunki polityczne na Górnym Śląsku ułożyły się w taki sposób, że wzrost poczucia narodowego musi jednocześnie wywoływać wzrost antagonizmu do duchowieństwa katolickiego, albowiem kler górnośląski, wzięty w całości, jest obecnie narzędziem germanizatorskiem w ręku rządu i każdy, kto zwalcza germanizacyę, musi zwalczać księży. Ponieważ zaś kler nigdy nie oddziela osób swych przedstawicieli od kościoła jako instytucyi i walkę z księżmi uważa za walkę z kościołem, przeto walka narodowościowa na Górnym Śląsku musi nabrać charakteru wybitnie antikościelnego. List pasterski kardynała Koppa z pewnością odegra w tem starciu rolę owych sławnych mów cesarza Wilhelma, z których każda daje co najmniej 10,000 nowych głosów jego najbardziej zaciętym przeciwnikom. Znajdą się na Górnym Śląsku żywioły, które potrafią należycie list ten wyzyskać i stworzyć zeń broń niczawodną w przyszłości. Nawet oportuniści narodowo-demokratyczni, udający wiernych katolików, będą musieli wcześniej czy później wystąpić do walki zasadniczej z klerem jako reprezentacyą wrogiej naszym interesom narodowym potęgi. Na razie demokraci narodowi grożą odwołaniem się do Rzymu. Nie jest to zapewne naiwność, lecz „polityka“ — tak samo mądra jak i polityka Koppa i jego czeredy.

Obecnie zwoływane są wiece w celu zaprotestowania przeciwko hakatystycznej polityce kardynała Koppa. Pierwszy taki wiec odbył się w Berlinie. Sala Kellera, największa do zgromadzeń publicznych w stolicy Niemiec, była wypełniona po brze-

---

wart i woda od wiatru i prądu kotłowała się, jak ukrop. Ogromne, sterczące z dna głazy, oślizgłe od piany, utrudniały przeprawę.

— Nocujemy, chłopcy! Niema co! — zawyrokował Damian.

— A jakże! kto ci tu siedzieć będzie w takim cugu, mając szynk pod bokiem... Toć przecie, dzieci, zaraz za tą górą Macza... Szczerze chłopcy!.. Światło stąd widać... Poradzę ci, Damianie, po ludzku: albo ruszajmy zaraz, dopóki jeszcze dni się, albo... nie ufaj nikomu i szkutę nazad cofnij na ciche wody — radził znacząco Indor.

Damian wzdychał, gdyż rozumiał, że rada istotnie była słuszną, a nazajutrz mógł się obudzić bez połowy ludzi.

— Szukaj ich potem, albo najmuj po pięć rubli z mordy! — mruczał na dowodzenia Gurana.

— Jeżeli ruszać, to ruszać! Dalej dzieci do pólki, noc za pasem!.. — kazał sternik.

Pierwszą skałę obeszli dość pomyślnie, ale po za nią była druga znacznie niebezpieczniejsza. Pośrodku urwisko tworzyło niewielki wnęk, do którego zawracała woda z „porogu“ i tworzyła cichą zatoczkę. Ale grzęda rumowisk spadłych z opoki przeszkadzała szkucie tam się dostać. Tylko orylów, potrzebnych do przeciągnięcia statku, przewieziono z wielką trudnością na czółenku. Szkuta została wśród huczących bałwanów. Karski z przerażeniem patrzał na siwe łapy wód, skaczących koło głazów i łodzi, na kotłowanie się głębiny ryczącej, szczekającej, wyjącej, jak kłąb białych, rozwścieczonych, gryzących się, opienionych, kudłatych potworów... Od tego hałasu, od biegu i migotania fali, od drżenia bitych przez nią skał huczał w głowach orylów straszny, nużący, obezwładniający zamęt. Tymczasem należało pilnie baczyć na dygocące i napięte, jak struny, liny szkuty, na bosaki słabo zaczepione o burty i oślizgłe rapy.

Szkuta nieustannie tańczyła, podnoszona gwałtownie grzbietami, walących się pod nią wodospadów. Trzeba było wiele zręczności i uwagi, aby ją w równowadze utrzymać. Nadomiar wiatr z góry i dołu prał przeziębłych robotników, obrzucając ich żwirem i wodną kurzawą. Rozpalili więc ognisko ze znalezionych w szczelinach badyli i grzali kolejno zgrabiałe członki, podczas gdy inni, czepiając się złomów i brocząc krwią z poranionych nóg i rąk, pomagali czółenku ze sznurem opłynąć dokoła „byka.“ Dwa razy zbliżało się ono do strasznego cypla i dwukrotnie je woda i wiatr odrzucały nazad. Czółenkiem kierował Obuch, a Indor siedział w tyle i ciągnął pólkę. Koźma, dla przyczyn jemu tylko wiadomych, został na szkucie, zapewne aby ratować ją w razie, gdyby oberwały się cumy. Widząc jednak niepowodzenie Obucha stary wioślarz zmienił zdanie:

— Nie przepłyniecie! Hej, wracajcie!.. Niech Obuch idzie do szkuty!.. Przewiozę was! — krzyczał, siląc się zagłuszyć ryk wody, ale Indor tylko mu się grzecznie kapeluszem kłaniał. Znów czółenko zbliżyło się do fatalnej skały: Obuch niespokojnie wiosłował, pochylony naprzód. Indor robił pożegnalne gesta, stateczek jak łupina osuwał się chybotliwie z bałwana na bałwan. Wtem znikł za zakrętem, lecz rychło ukazał się, mknąc na strzał rzeki, wywrócony do góry dnem. Nikt nawet nie krzyknął. Hołownicy na brzegu i na łodzi też się nie ozwali. Wszyscy jakby skamienieli. Pierwszy Koźma wrzasnął z pokładu:

— Łapaj, łapaj!.. Dawaj!.. Sznur!.. Tutaj... Obuch!..

Naówczas dostrzegli głowę ludzką, nurzającą się śród wirów. Cumy nagle drgnęły i ludzie oszołomieni byliby może puścili statek na pewne rozbicie, gdyby Guran nie zagrzmiał jak piorun:

— Hej! wy tam na brzegu... pilnować cum! Napiąć sznury!..

Obucha wydobyto, ale Indor popłynął za wielu innymi, z twarzą zwróconą na dół.

(C. d. n.)

gi słuchaczami polskimi ze wszystkich warstw ludności, należącymi do wszelkich partyj politycznych. Wiec zagaił p. Krysiak zwróceniem uwagi na to, że i w Berlinie odczytywano list pasterski Koppa z ambon kościołów katolickich, a niektórzy księża pod wpływem wystąpienia kardynała nie wahali się w konfesyonałach odstręczać spowiadających się u nich Polaków od czytywania gazet polskich wogóle, lżyć redaktorów polskich i zachęcać wiernych do abonowania pism centrowych, jak *Märkische Volkszeitung*. Następnie referent wyraził ubolewanie, że Kopp, nieznając mowy polskiej i zmuszony wskutek tego czerpać informacye o sprawach polskich albo z prasy nam wrogiej, albo od ludzi wrogo względem nas usposobionych, wydał list, krzywdzący Polaków, jako wiernych katolików. Referent zapewnia, że po za pismami socyalistycznemi niema w państwie niemieckiem ani jednego polskiego, któreby nie stało szczerze na gruncie katolickim. Żadne z nich nie popełnia występków, zarzucanych im w „Liście pasterskim,“ a jeżeli które czasem w uprawnionem zwalczaniu germanizacyi przez czynniki kościelne użyje formy nieoględnej lub wyrażeń może poniekąd za drastycznych, to niechaj wytłomaczeniem dla niego będzie boleść, jaka przejmować musi serce gorąco czującego Polaka, gdy widzi liczne sługi Chrystusowego kościoła w obozie wrogów naszego kościoła i wrogów naszej narodowości. Ludność polska na Śląsku i na obczyźnie w wielkiej swojej części wyrosła już na szczęście z lat politycznego niewolnictwa, doskonale umie rozróżniać, gdzie się kończy interes kościoła a zaczyna dziedzina polityki, gdzie ksiądz przestaje być szafarzem pociech religijnych i kościelnych, a występuje jako członek stronnictwa politycznego, którego szanujący swą godność Polak nie może popierać. Niechaj księża nie odpychają od siebie i nie zrażają ludności polskiej narzucaniem jej swej polityki partyjnej, niech nie drażnią jej najświętszych uczuć, jej gorącego przywiązania do narodowości, niech jej nie lekceważą, bo jeśli będą czynić to nadal, ucierpi na tem sprawa kościoła, a plon z tego zbierze wspólny wróg. W tym duchu została uchwalona rezolucya.

Jeśli już teraz p. Krysiak, klerykał od stóp do głowy, ośmiela się podnieść głos przeciwko słowu kardynała, wobec którego cały obóz konserwatstyów poznańskich plackiem leżał, jeśli nawet taki *Dziennik Poznański* waży się krytykować wystąpienie Koppa, to musiała zajść głęboka zmiana w usposobieniu społeczeństwa względem kleru.

Podobny wiec odbył się we Wrocławiu i w Poznaniu. Ten ostatni odznaczał się daleko większym radykalizmem. Uchwalono na nim oprócz protestu przeciwko Koppowi jeszcze „cześć“ dla Korfantego.

Pośrednik.

Z charakterystyki sądowej.

Honor złodziejski.

W sądzie toczy się sprawa o zabójstwo w uniesieniu. Zbrodnię popełnił znany złodziej-recydywista, który jednak nie miał dotąd krwi ludzkiej na sumieniu, choć „dla samego porządku“ nóż zawsze nosił we właściwem miejscu, tj. za cholewą. Oskarżony broni się osobiście, z akcentem szczerości i ożywienia opowiada szczegóły zdarzenia: „Tak mi ciężko ubliżył, tak mnie przy wszystkich zdyfamował, że nie wytrzymałem i dałem mu *tak*...“—tu z wielką plastyką robi ruch, naśladujący potężne uderzenie nożem w brzuch. Zapytany, na czem polegała obelga, mówi wyraz „kombinator“; a gdy ani sąd, ani tłomacz określenia jego nie rozumie, objaśnia z wielkiem przejęciem i widocznem zadowoleniem znaczenie tego wysoce pogardliwego w narzeczu złodziejskiem słowa. Jest to nazwa dawana złodziejom specyalistom, popełniającym kradzież w warunkach, wykluczających wszelkie ryzyko, nieprzedstawiających żadnego niebezpieczeństwa. „Kombinator“ działa wyłącznie w sobotę wieczorem, kiedy robotnicy i rzemieślnicy powracają od pracy z pełną kieszenią, a przy kieliszku chętnie zawierają znajomości i nowe związki przyjaźni; upatrzywszy ofiarę, „kombinator“ spędza z nią kilka godzin, w czasie których, w miarę przedłużających się libacyj na wspólny koszt, rośnie serdeczność nastroju. Aż wreszcie, kiedy przyjaciel tak się upił, że niewiele wie, co się z nim dzieje, „kombinator“ zabiera mu zegarek i pieniądze, pewien, że nawet gdyby się okradziony spostrzegł i poskarżył policyi, nie znajdzie w tym stanie u niej wiary i współczucia.

Innego rodzaju „kombinator,“ jeszcze pospolitszy, nie posiada kapitału nakładowego na libacyę, a więc upatrzywszy sobie przedmiot godny zabiegów, czeka nań przed szynkiem, gdy wychodzi już „gotowy“; wówczas korzystając z właściwej pijanemu ufności do obcych, odprowadza go do domu, okradając po drodze, najzupełniej pewien bezkarności.

Zawód „kombinatora,“ jak widzimy, dość jest korzystny, a jednak każdy złodziej zwyczajny traktuje go z ogromną pogardą i obrzydzeniem dlatego właśnie, że nie przedstawia żadnego niebezpieczeństwa. Kradzież, popełniona z narażeniem się na ujęcie, zranienie, posiada jakiś urok w jego oczach, niby wyprawy rycerskiej. Rabowanie bezbronnych uważa on za coś dla siebie poniżającego. Złodziej honorowy, według objaśnień podsądnego, nie okrada nigdy dzieci, gdyż byłoby to haniebnem „kombinatorstwem,“ a tego obelżywego słowa bezkarnie on sobie w twarz rzucić nie pozwoli. Stoczywszy się na samo dno przepaści, przeciąga włos łączności z tym światem, z którego wyszedł, gdzie panują jakieś obowiązki, rządzi przymus moralny. Za ten włos niezatraconego jeszcze doszczętnie poczucia należenia do rodziny ludzkiej, możnaby go jeszcze pewnie wydobyć, gdyby ludzkość zakładała sanatorya dla dusz dotkniętych chorobą, tak jak zakłada dla ciał.

FEJLETON.

VERBUM NOBILE.

Męczennicy ciemnoty.

Śród powodzi ankiet, po których o niejednej naszej wielkości chciało się powiedzieć: „si tacuisses, philosophus mansisses,“ była przecież taka, że o stawionem przez nią pytaniu wciąż się myśli. Ankieta dotycząca zagadnienia: jaka jest największa nasza wada narodowa?

I posypały się odpowiedzi. Naród nasz, jak skruszony grzesznik, począł bić się w piersi i mówić: jestem kłótliwy, pyszałkowaty, leniwy; jestem ciemny, skąpy, niewdzięczny; moja lewica nigdy nie wie, co robi prawica; jestem skończony klerykał; mam porywy wolnomyślne, arystokratyczne, pańskie; kocham się w błędach zagranicznych i niedoceniam swojskich cnót; a także brak mi charakteru...

Gdyby ten naród miał doświadczonego spowiednika, usłyszałby niezawodnie: to nie są grzechy, mój kochany, to są raczej grzeszki, grzeszki powszednie. Mówiono ci o bucie szlacheckiej; gdzież podziała się ta buta? Szlachta jest dziś może zanadto pokorna. Przypatrz się bucie teutońskiej, to jest buta! Leniwy jesteś? Nie, jesteś albo znużony pracą zbyt wielką, albo pracą nieumiejętną, bo ty się dopiero uczysz pracować. Jako szlachcic nie potrzebowałeś dawniej pracować, więc ci teraz praca przychodzi z trudnością; jako chłop musiałeś pracować dla innych, więc pracować bezmyślnie, dlatego teraz trudno ci pracować z myślą. Kłótliwy jesteś? Gdybyście sobie z sąsiadami nie musieli chodzić po nogach, nie popadalibyście w kłótnie i spory. Klerykał jesteś? Tak cię wychowano, mój kochany; wyrośniesz z tego. Wszak z tylu wad wyrosłeś w ciągu ostatnich czterdziestu lat!

Tak mowiłby doświadczony spowiednik narodowi naszemu i mówiłby bardzo sprawiedliwie. Ale rzeczą dobrego spowiednika jest naprowadzić spowiadającego się na ową wadę główną, dopomódz mu, myśleć z nim. Nie chcemy być generalnym penitencyaryuszem naszego narodu. Możemy go natomiast wskazać. Był, istniał, napominał. Uchodził za człowieka, który tylko piękna szukał. Najmniej spodziewano się po nim właśnie tak genialnego spostrzeżenia. Myśl, jaką wygłosił, starali się także inni wyrazić; ale wyrazili ją albo inaczej, albo tylko przez pół. On jeden wyraził ją zupełnie, klasycznie, skończenie. Człowiekiem tym był Słowacki. Nie Skarga, nie Konarski, nie Mickiewicz, nie żaden mąż stanu, nie żaden polityk, ale — ale Słowacki.

Ktokolwielk dziś walczy z błędami naszego narodu, ktokolwiek chce u nas poddać jakąś sprawę pod dyskusyę, ktokolwiek chce jakąś prawdę społeczności naszej zaszczepić...

Ktokolwiek szuka sojuszników, ktokolwiek przejdzie całą gamę od nadziei do rozpaczy, że ich nie znalazł...

Ktokolwiek widzi z przerażającą jasnością, ile ten naród mógłby uczynić w porównaniu z tem, co czyni...

Ktokolwiek szczerze kocha swój naród, rozmyśla nad jego losomi, gorąco pragnie jego poprawy; kto u nas szuka ludzi, ludzi, ach, przedewszystkiem ludzi...

Ten musi wziąć do ręki Anhellego i odczytać następującą, nadzwyczajną scenę.

„A oto wygnańcy w niebytności Szamana kłócić się zaczęli między sobą i podzielili się na trzy gromady; a każda z nich myślała o zbawieniu ojczyzny.

Więc pierwsza na czele miała Grafa Skir, który utrzymywał stronę tych, co się przebiorą w kontusze i nazywać się będą szlachtą, jakby z Lechem na nowo przybyli do kraju pustego.

A druga miała na czele żołnierza chudego, imieniem Skartabellę, który chciał ziemię podzielić i ogłosić wolność chłopów, i równość szlachty z żydami i cyganami.

A trzecia na czele swojem księdza Bonifata, który chciał kraj zbawić modlitwą i na ocalenie podawał sposób jedyny: iść i ginąć nie broniąc się, jak męczennicy

Te więc trzy gromady zaczęły być między sobą niezgodne w duchu, i kłócić się poczęły o zasady.

A oto druga owa gromada, uzbroiwszy się w siekiery, wyszła w pole odgrażając się, że u pierwszych dowie się, jaka jest krew, drugim zaś da to, czego żądają: męczeństwo.

Lecz nim przyszło do walki, a umysły już były rozgrzane, zgodzono się za poradą któregoś z trzeciej gromady, aby rzecz tę przez sąd Boga rozstrzygnąć: oto postawmy trzy krzyże na naśladownictwo męki Pana

naszego, i na tych trzech drzewach przybijmy po jednemu z najmocniejszych w każdej gromadzie; a kto najdłużej żyć będzie, przy tym zwycięztwo.

A że umysły tych ludzi były jakoby w stanie pijanym, znaleźli się trzej rycerze, którzy za swoje przekonanie śmierć ponieść chcieli.

Postawiono więc trzy krzyże i wystąpili trzej męczennicy po jednemu z każdej gromady.

I zawieszono na krzyżach ludzie owe obłąkane, i przybito im ręce ćwiekami; a ten, co był na prawo, krzyczał: równość! a ten, co był z lewej, krzyczał: krew! wiszący zaś pośrodku mówił: wiara!

I tłumy stały w milczeniu pod krzyżami, czekając, co się stanie. A była wielka ciemność i okropne milczenie....“

Ślepi fanatycy! Męczennicy ciemnoty! Umysły wasze są jakoby „w stanie pijanym“! Umiecie nawet zginąć, tylko jednego nie umiecie: przypuścić na chwilę, że nie macie słuszności...

Wy, cząstka najofiarniejsza, godna czci i uwielbienia, godna miłości — postępujecie jak ów dziki, który dla dowiedzenia swej słuszności rozpruwa sobie nożem brzuch...

We trzech zawiśliście na krzyżach, zawiśliście obok siebie; ale o każdym z dwóch mniemacie, że jest bluźniercą swego narodu, krzywdzicielem jego, może nawet zdrajcą...

Może powiecie, że on zawisł na tym krzyżu w sojuszu... z szatanami! I cóż tedy dziwnego, że się musi wciąż rozgrywać następująca niesłychana scena:

„O północy zorza borealna rozciągnęła się na całej niebios połowicy i ogniste wystrzeliły z niej miecze; a wszystko stało się czerwone i te krzyże z męczennikami.

Wtedy strach jakiś ogarnął tłumy i rzekły: źle czynimy! godziż się, aby za nasze wiary ci ludzie ginęli niewinnie?

I przeraziły się zgraje, mówiąc do siebie: oto umierają i nie skarżą się.

Rzekli więc do tych, co byli ukrzyżowani: chcecie, a zdejmiemy was? Lecz ci im nic nie odpowiedzieli, będąc już umarłymi...

A poznawszy to, rozbiegły się zgraje pełne przerażenia, a żaden z tych, co uciekali, nie odwrócił głowy, aby spojrzeć na martwe i umęczone. Zorza je czerwieniła, zostali sami.

A właśnie wtenczas Szaman z Anhellim powracali z wędrówki. I poznali w nich swoje znajome. Więc Szaman, usiadłszy pod krzyżem, płakał...“

Przed oczami naszemi na tle czerwieni widnieją trzy czarne krzyże ze skostniałymi męczennikami fanatyzmu partyjnego. W dali uciekające ze zgrozy tłumy, a pod krzyżami Szaman płaczący nad tem, co się stało.

Szalony obraz! Przerażająca wizya poety, sen gorączkowy, okropna prawda przybrana w obraz paraboliczny.

Ale choć przygasły zorze borealne, choć Słowacki gdzieś legł na ziemi francuskiej i białych jego kości nie strzegą kolumnowe czoła, choć zmieniły się czasy i okoliczności, ów straszny wzgórek wznosi się wciąż i co chwila jakiś męczennik idzie na krzyż, aby rzekomo udowodnić, że ma słuszność, a w istocie tylko po to, aby wykazać, że za swe przekonania, które może nie warte ofiary jednego koźlątka, gotów oddać życie człowieka. I wisząc na swoim krzyżu, będzie on urągał temu, który to samo zrobił, co on...

To nie jest owa przypowieść Mickiewicza o chorej matce, synu i trzech niegodnych lekarzach. To jest ta nadzwyczajna opowieść o matce i trzech synach, z których każdy sądził, że ją uzdrowi, jeżeli sobie nożem brzuch rozpruje, a brata, który zrobi to samo, nazwie wyrodnym...

Co począć z pokoleniami takich męczenników? Czyż można, tak jak ów Szaman, siadać tylko pod krzyżami i płakać? Mówić do nich? Tłomaczyć im, co czynią? Ależ oni, pokropiwszy wosk świętemi wodami rzek naszych, zalepili sobie uszy. Obok ich krzyżów stawić czwarty i rozpiąć na nim ręce samobójczo? Na akt rozpaczy zawsze czas. Czekać? Przeczekać? Gdy w koło umysły „jakoby w stanie pijanym“? Wyglądać innych, gotować drogę na ich przyjście? Ach, chyba to jedno...

Ilekroć przeto słyszę owe pytanie, jaka jest nasza główna wada narodowa, staje mi przed oczami ów wzgórek śniegowy na tle zorzy borealnej i widzę owe trzy krzepnące postaci męczenników, z których jeden woła: równość! a drugi woła: krew! a trzeci mówi: wiara!

Nie straszą mnie owe gromady leniwców, pasibrzuchów, filistrów, kłamców, pasorzytów, oszustów, których ma każdy naród, które znajdą się w każdem społeczeństwie, których może żadna kultura nie wypleni do ostatka tak, aby ich nie było zupełnie; ludzkość nigdy się nie zamieni w związek aniołów, bo ona jest właśnie błądzącą ludzkością. Ale dreszcz mnie przechodzi na widok owego fanatyzmu rzekomych przekonań, na widok owego rozpruwania sobie brzucha tytułem argumentu, na widok owego despotyzmu przekonaniowego, który mówi: zdrajcą jesteś, ponieważ sądzisz, że mogę się mylić...

Dla chłodnego badacza tacy ludzie są może tylko ciekawym „objawem“, „kategoryą“ itd. Tak będzie lekarz „kategoryzował“ osobniki, zarażone lasecznikiem gruźlicy. Ale czy może o tem tak chłodno rozprawiać człowiek, należący do zarażonego organizmu?

Męczennicy ciemnoty! Wy wzajemnie plwający na siebie! Wy, którzy za swoje przekonania umiecie sobie rozpruć brzuch! Czy wy pamiętacie to niesłychane zdanie Renana, że żaden człowiek nie może mieć na tyle racyi, aby jego przeciwnik nie mógł jej już mieć wcale?

Andrzej Niemojewski.

BADANIA NAUKOWE.

Warunki, niezbędne do życia.

—•—

Biologia nowoczesna za najistotniejszą cechę życia uważa stałą przemianę energii w związku z przemianą materyi, wchodzącej w skład podścieliska wszelkich zjawisk życiowych—plazmy. Przemiana ta może odbywać się tylko w pewnych, ściśle określonych warunkach, o których w niniejszym artykule pragnąłbym w krótkości pomówić.

Pojęcie energii ściśle związane jest z pojęciem o materyi. Pozostawiając metafizykom wierzenie w niezależność, samoistność energii we wszechświecie, przyjąć musimy ten pewnik, że gdzie niema materyi, tam niema i siły, że żadne zjawisko w świecie fizycznym z nicości powstać, ani w nicość obrócić się nie może.

Pierwszym więc warunkiem istnienia życia, które, jak rzekliśmy, związane jest z ożywioną przemianą energii, będzie ciągły dopływ do organizmu materyi, w postaci ciał uzdolnionych do wyładowań energii czynnej: każdy organizm dla podtrzymania swego życia wymaga pokarmu, który właśnie zawierać musi w sobie taką energię w stanie ukrytym — potencyalnym. Tę energię, zawartą w pokarmach, umiemy już ściśle, ilościowo obliczyć za pomocą spalania. Bez pokarmu niemożliwa jest żadna przemiana, żadne życie.

Niedawno dokonany został przez Herbsta („Ueber die Entwickelung der Seeigellarven nothwendigen anorganischen Stoffe,“ 1897) cały szereg doświadczeń nad udziałem różnych składników wody morskiej w rozwoju zwierząt morskich. Pobudzał on do rozwoju, między innemi, jajka jeży morskich w sztucznie przygotowanej wodzie morskiej tego samego, co i naturalna, składu, lecz pozbawionej jakiegobądź jednego pierwiastku. Tą drogą zdołał on wykazać niezbicie, które z ciał prostych są do rozwoju organizmów morskich niezbędne, a które zbyteczne. Do niezbędnych należą: fosfór, siarka, chlor, sód, potas, magnez, wapień. Późniejsze badania tego samego autora (1898) wykazały, że fosfór i żelazo do bezwzględnie niezbędnych pierwiastków nie należą.

Podobne badania nad rozwojem organizmów roślinnych wykazały, że rośliny mogą się jeszcze obywać bez chloru i bez sodu.

Oczywiście, obecność wymienionych pierwiastków w pokarmie uważać należy za niezbędny warunek życia tylko dla młodocianego okresu rozwoju organizmów, dla embryonalnej ich fazy życia. W późniejszych, dojrzalszych okresach niezbędnemi stają się jeszcze i inne pierwiastki. Rośliny trawne, zboża, oraz zwierzęta posiadające szkielet krzemionkowy, wymagają np. obecności w pokarmie związków krzemionkowych.

Zwierzęta, u których we krwi wykryto żelazo lub miedź (skorupiaki), pozbawione pierwiastków tych w pokarmie, rozwijać się normalnie nie mogą.

Nawiasem tu nadmienić muszę, że rozwijające się jajka i zarodki jeży morskich posiadają zdolność pochłaniania materyału niezbędnego do życia nawet wtedy, kiedy jeszcze nie posiadają odpowiedniego układu pokarmowego. Oczywiście komórki ich pochłaniają niezbędne pierwiastki lub ich związki wprost z otaczającej wody morskiej.

Drugim warunkiem, niezbędnym do wszelkiego życia, jest obecność wody; z góry by się tego domyśleć można, jeżeli będziemy pamiętać o tej podstawowej zasadzie zjawisk chemicznych, którą głosi formułka: „Corpora non agunt nisi soluta.“

Woda więc, wprowadzona do organizmu, nie dostarcza mu energii chemicznej, lecz ułatwia, umożliwia przemianę energii, odbywającą się na gruncie ciał innych, w plazmie zawartych.

Zupełne pozbawienie organizmu wody (wyschnięcie) tak samo przecina bieg zjawisk życiowych, jak pozbawienie pokarmu, „zagłodzenie.“ Stąd to wynika cały szereg przystosowań w budowie roślin i zwierząt, któremi organizmy te bronią się od głodu i od utraty wody. Niektóre rośliny, rosnące w klimacie suchym, na powierzchni swej wytwarzają warstwę wosku, powstrzymującą sok roślinny od zbytniego parowania; inne w komórkach swych zawierają szczególne związki, chciwie przyciągające i utrzymujące wodę. Niektóre ślimaki zasklepiają otwór swej muszli specyalnem wieczkiem lub suchą, dla wody nieprzenikliwą błoną.

By energię, ukrytą w stanie potencyalnym w spożytych pokarmach uruchomić i na potrzeby życiowe w obieg puścić, organizm musi koniecznie otrzymywać z zewnątrz tlen. Jest to nowy warunek życia — *sine qua non.*

Wprawdzie nowsze badania fizyologiczne dowodzą, że źródłem energii życiowej po za utlenieniem, „spaleniem,“ mogą być i inne reakcye chemiczne, wyzwalające energię wewnątrz komórki, naogół jednak niewzruszoną pozostaje zasada, że wszystko, co żyje, otrzymywać musi z zewnątrz tlen, musi oddychać. Niektóre bakterye

i grzybki niższe żyć mogą w środowisku, pozbawionem zupełnie wolnego tlenu — za co otrzymały nazwę *anaerobów*. Dowiedziono jednak zostało, że czerpią one dla siebie tlen związany chemicznie z temi ciałami, z któremi stykają się (w środowisku swego życia) — powodując ich *odtlenianie*. Zresztą i niektóre ustroje wyżej uorganizowane, jak np. wnętrzniaki, pasorzytujące w jelitach ludzkich i zwierzęcych, podług doświadczeń Bungego, przez długi czas żyć mogą w atmosferze, pozbawionej tlenu. Taka ich szczególna zdolność uważana jest za przystosowanie do zwykłych warunków życia, wśród których nie znajdują świeżego powietrza.

Zresztą sprawa ta wymaga dokładniejszego jeszcze zbadania. Co do pewnych wymoczków, pasorzytujących w jelitach niektórych zwierząt wyższych, kręgowych, to dowiedzionem zostało niedawno (w roku 1901), że zadawalają się one niezmiernie drobnym procentem tlenu w środowisku życia; zetknięcie się zaś z czystem powietrzem jest dla nich wprost zabójcze.

Energia, zawarta w związkach pokarmowych, zużywa się przeważnie na utrzymanie organizmu przy życiu; w miarę trwania życia wyczerpuje się energia na pracę fizyologiczną, i stąd powstają w ciałach żyjących t. zw. produkty rozpadu, które muszą być usuwane z organizmu na zewnątrz, jako niepotrzebne, a nawet szkodliwe, bo pozbawione już energii potencyalnej; do takich produktów rozpadu należy mocz, kwas moczowy, woda, kwas węglany, różne sole itp. Usuwanie ciał tych z organizmu, czyli t. zw. wydzielanie, jest warunkiem również niezbędnym do prawidłowego wykonywania czynności życiowych, jak odżywianie i oddychanie.

Na przebieg zjawisk chemicznych, jak wiadomo, wielki wpływ wywiera temperatura. Wyższej temperaturze odpowiada zwykle energiczniejszy przebieg reakcyj chemicznych, niższej zaś — słabszy; znaczne obniżenie temperatury powstrzymuje zjawiska całkowicie; inne możliwe są tylko przy bardzo wysokiej temperaturze. Otóż i dla czynności życiowych, jako polegających w znacznej mierze na przemianie energii na inne jej postacie, temperatura jest niezmiernie ważnym warunkiem.

Dla każdej czynności fizyologicznej istnieje pod tym względem pewien maksymalny i minimalny kres, po za którym objawy życiowe ustają; pomiędzy *maximum* i *minimum* temperatury istnieje dla zjawisk życiowych t. zw. *optimum*, przy którem przemiana energii w organizmie odbywa się najenergiczniej. Dla przeważnej ilości objawów życiowych granice temperatury istnieją pomiędzy 0 a 50° C. Białko, jako główny składnik chemiczny plazmy ścina się przy temperaturze 53—56° C.; powyżej więc tej temperatury życie możliwe jest tylko pod tym warunkiem, jeżeli organizm posiada odpowiednie przykrycie, chroniące go od tak wysokiego ciepła, albo też jeżeli uzbrojony jest w odpowiednie środki oziębiające, jak np. pocenie się. Niezmiernie ważne jest pod względem fizyologicznym to spostrzeżenie („Davenport and Castle,“ 1895), że protoplazma może znieść bez ścinania się daleko wyższą temperaturę wtedy, kiedy zostanie wysuszoną lub przynajmniej pozbawioną nadmiernej ilości wody. Białko jaja kurzego np., pozbawione wody, ścina się dopiero przy temperaturze 160—170° C.

Bakterye znoszą temperaturę 70°, zaś ich zarodniki — 130°, drożdże — 53°; niektóre wodorosty, zamieszkujące źródła gorące, podług badań Ehrenberga, żyją w temperaturze 81—85°; dla większej części zwierząt bezkręgowych *maximum* temperatury wynosi 38—48° C., oprócz niektórych mięczaków Islandyi, które żyją w źródłach gorących jeszcze przy temperaturze 50°; ryby na wysoką temperaturę wody są dość czułe, gdyż znieść mogą bezkarnie najwyżej 38°; żaby zaś żyją jeszcze w temperaturze 56°, wysuszone zaś wrotki (Ratatoria) nawet w temperaturze 98°! Co się tyczy temperatur minimalnych, to odpowiednie badania nad różnemi zwierzętami przeprowadził między innemi Pictet („De l'emploi métodique des basses temperatures en biologie,“ 1893). Ryby powracają do życia, chociażbyśmy je zupełnie zamrozili do tego stopnia, że możnaby je kruszyć jak lód; nie znoszą jednak temperatury niższej od 20° mrozu C. Żaby znoszą 28° mrozu, lecz zamierają już przy 30°; pewne jednak zbiorowiska komórek (tkanki), np. nabłonek migawkowy z ich podniebienia powraca do życia nawet z 90° mrozu. Pewne skorupiaki równonogie (Asellus) wytrzymywały mróz 40—50°, a ginęły dopiero przy 90°. Ślimaki ogrodowe w przeciągu kilku dni pozostawać mogą w temperaturze 110—120 niżej zera bezkarnie, o ile muszla ich jest nieuszkodzona. Jaja ptasie znoszą zaledwie 1 stopień mrozu, jajom zaś żabim nie szkodzi 60° chłodu. Na nizką temperaturę daleko wytrzymalsze są zwierzęta bezkręgowe, niższe. Wymoczki i wrotki nie boją się 60° mrozu. Wysuszone zaś zarodniki wodorostów, bakterye, nasiona roślinne i wogóle organizmy pokryte stale błonami ochronnemi lub zdolne wytwarzać sobie takie błony czasowo, znieść mogą nawet 200° mrozu.

We wszystkich tych wypadkach, kiedy organizmy żyjące poddajemy działaniu coraz niższej temperatury, sprawność ich czynności życiowych wciąż słabnie, maleje, aż w końcu może zostać zupełnie zawieszoną, przerwaną aż do chwili umieszczenia ich w temperaturze wyższej od danego *minimum*.

Obok temperatury na wzmożenie, osłabienie lub zawieszenie objawów życiowych w organizmach wpływa w wysokim stopniu ciśnienie atmosfery lub wody, zależnie od środowiska, w jakiem jakiś organizm żyje.

Już na sobie nawet z łatwością zauważyć możemy wpływ wymienionych czynników (temperatury i ciśnienia) na stan fizyologiczny naszego ciała. Ociężałość lub ożywienie, zły lub dobry humor, apatya lub podniecenie bardzo często u ludzi nerwowych następują po sobie zależnie od stanu pogody, która, jak wiadomo, jest wypadkową przeważnie tego lub owego ciśnienia atmosferycznego, tej lub innej temperatury.

Zwierzęta nie mniej od nas odczuwają działanie ciśnienia, gdyż ono to warunkuje natężenie ich różnych czynności fizyologicznych. Zauważono naprzykład, że niektóre zwierzęta morskie są w stanie znieść ciśnienie nawet 400 atmosfer, przy wyższem zaś — wpadają w pewien stan odrętwienia, znamionujący zawieszenie ich czynności życiowych; inne znowu wytrzymują ciśnienie 1000 atmosfer. Oczywiście te organizmy, które zamieszkują otchłanie morskie, są pod względem ciśnienia wytrzymalsze. Czynność bakteryj gnilnych ulega zawieszeniu pod wpływem ciśnienia 600—700 atmosfer; na wielkich więc głębokościach w morzach i oceanach, gdzie panuje takie ciśnienie, trupy zwierzęce nie gniją wcale.

Normalny przebieg wszystkich czynności fizyologicznych, czyli poprostu życia organizmów, jak widzieliśmy z przytoczonych powyżej kilku przykładów, ujęty jest w ciasne ramy warunków zewnętrznych; ramy te mogą być szersze lub węższe, zależnie od stopnia przystosowania danego organizmu; lecz zawsze leżą pomiędzy *minimum* i *maximum* temperatury, ciśnienia, wilgotności oraz materyi, niezbędnej do życiowej przemiany a uposażonej w energię ukrytą. O warunki te cały świat ożywiony stacza od wieków zawziętą walkę, gdyż wszystko, co żyje, ptak i wymoczek, bakterya i dąb, jeden człowiek i całe społeczeństwa do normalnego swego rozwoju potrzebują nietylko chleba, wody i powietrza, lecz i ciepła, swobody ruchów i światła...

Kazimierz Kulwieć.

LITERATURA I SZTUKA.

Literatura rosyjska.

Maksym Gorkij: Mieszczanie.

W mieszczańskim domu Biezsiemienowa, gdzie przypadkowo znalazło chwilowy przytułek grono bezdomnych włóczęgów, pijaków i nędzarzy, w domu zamożnych kupców rosyjskich, rozgrywa się walka młodych ze starymi.

Młodzi i starzy! A więc płomienny bój o nowe prawdy i wielkie ideały, orle wzloty pod niebo, zapał, pragnieniami czynu dyszący, a z drugiej strony pełzanie po szarej płaszczyźnie codziennych trosk i kłopotów? A więc namiętność, jak piorun niepowstrzymana, żarem krwi młodej kipiąca żądza życia i użycia, złudzeń wiośnianych blaski tęczowe, a tuż przy ziemi zimny spokój starości trzeźwej i rozważnej?... A może przepaść dążeń krańcowych, otchłań, która dzieli marzenia, słońca sięgające, od myśli, grzęznącej w rynsztokach pospolitej rzeczywistości?..

Nic z tego!

A jednak w domu Biezsiemienowych rozgrywa się walka. O cóż chodzi walczącym?

Zaczęło się *to* na długo, na długo przed pierwszym aktem. Zaczęło się już przy kolebce. Urodziły się dzieci, a urodziły się niepodobne do swoich rodziców, podrosły, poszły w świat, wchłonęły „nowe prądy“ życia i powróciły do domu. Nastąpiło starcie. Nie widzimy tego i nawet nikt nam o tem nie mówi. Więc wszystko jedno, co się stało i kiedy!

Stało się!

A potem dopiero mistrz Gorkij wziął do rąk swój przedziwny instrument poety i zagrał nam melodyę posępną, jak płacz wichrów jesiennych, monotonną, jak miarowy szum deszczu, siekącego szyby, rozpaczliwą, smutną i beznadziejną. Zasłona już dawno opadła, ale melodya dalej trwa w duszy. Aktorzy zeszli ze sceny, ale bohaterzy widowiska dalej grają na arenie życia.

Więc ciągnie się dramat bez początku i końca...

Bez końca! Ot i cały tragizm „scen w domu Biezsiemienowa.“ Bo cóż z tego, że już wkrótce starzy ustąpią miejsca swe młodym, skoro ci młodzi przed czasem się zestarzeją? Cóż z tego?!

Młodzi... Ha! cóż oni robią, jakie ideały urzeczywistniają, do czego dążą i co zamierzają na przyszłość? Sprzeczki wiecznie jedne i te same, utarczki pół-zdań z półzdaniami, nieszczęsna starość, nad którą się znęcają, morze niechęci i niedo wierzania, które wytworzyli, a w którem pławią się wszyscy domownicy — oto ich dzieło! I nic więcej? Nic?

A gdzież czyn? Czynu czekamy od was, młode orły, czynu!

I oto mamy czyn.

Córka truje się. To wszystko, do czego jest zdolna, to wszystko, co uczynić może. Więc truje się, ale o ironio! truje się po to, aby ją wyratowano, aby kiedyś, później, później, może dopiero za lat kilkanaście wstąpić w ślady swej matki i znowu stanąć do walki z młodością przyszłego pokolenia. A syn, bohater dramatu, idzie w objęcia

uprowadzającej go z domu rodzicielskiego kobiety. Na zawsze? Nie, on powróci do gniazda rodzinnego, powróci sam, zmieni dekoracye i zacznie nowe życia podług starego szablonu.

Taki wyrok wydaje Tietierow, włóczęga-filozof, myśliciel i obserwator, niedostrzegający w młodości dzisiejszej zadatków na promienną przyszłość. I szyderstwem... nie!... nie! czemś więcej, niż szyderstwem: policzkiem, rzuconym w twarz społeczeństwu uspakaja zrozpaczonego ojca:

...Twój syn wróci, wróci... Och, wróci, przestawi meble i stanie się takim, jak ty!..

Powróci, bo syn ten niezdolny jest do czynów samodzielnych. To jest pociecha dla Biezsiemienowa, a dla Tietierowa to ból, przeżerający mu duszę, to źródło, z którego tryska jego beznadziejny pesymizm, to otchłań i piekło, w które się stacza z sercem krwawem i... butelką alkoholu, jedynem lekarstwem na piekące rany.

Młodość nie tworzy promiennej przyszłości!

Nie stworzy. Więc jutro nie błyśnie nowa zorza, nie zapalą się nowe słońca? Więc jutro...?

Jutro zacznie się to samo...

Och, straszne są dramaty bez końca!

Artur Śliwiński.

2-ga Wystawa Wiosenna

w Salonie Krywulta.

Od pierwszego rzutu oka wystawa wiosenna robi miłe i estetyczne wrażenie ogólne. Jest to przedewszystkiem zasługą umiejętnego rozwieszenia obrazów i zręcznego urządzenia całości.

To wrażenie nietylkoby się utrzymało, ale wzmocniło przy szczegółowem rozpatrywaniu dzieł wystawionych, gdyby nie wielka różnorodność ich wartości artystycznej. Obok prawdziwie pięknych widzimy tak liche, z taką bezgraniczną pretensyonalnością potrząsające łachmanami swej nędzy twórczej i nieudolności technicznej, że trzeba się zdumiewać, dlaczego organizatorowie wystawy tak zeszpecili i obniżyli jej całość, wystawiając te prace.

Wolę sto razy najbanalniej wypiłowane płócienko jakiegoś dłubacza, który ubogi duchem z całą naiwnością, ale zarazem skromnością i wiarą daje nam to, na co go stać, niż te wielkie rozmachy bezmyślne, a estetycznie wstrętne, które z arogancyą chcą się narzucić oszołomionej publiczności jako utwory nadzwyczajne i tem nadzwyczajniejsze, im mniej odpowiadają temu, co sobie wyrazić postanowiły.

Ale i takim wyskokom nie dziwiłbym się, gdyby Wystawa Wiosenna otwierała swe podwoje wszystkim artystom bez wyjątku, gdyby wzywała wszystkich do wzięcia udziału w miarę sił i zostawiała autorom zupełną swobodę wystąpienia przed publicznością z tem, co sami uznają za odpowiednie. Taką szeroką zasadą kierują się np. paryskie wystawy „Artystów Niezależnych“ i nie można się dziwić, jeśli niejedna nieudolność lub kretynizm nadużyje tej gościnności.

Ale kółko twórców Wystawy Wiosennej zajęło całkiem przeciwległe stanowisko.

Nie dopuszcza wszystkich. Zaprasza tylko niektórych wybranych, pomijając znaczną większość artystów zdolnych i utalentowanych, zapewne dlatego, że przypuszcza w nich więcej umiejętnej rutyny, niż dążeń do szukania nowych dróg i nowych horyzontów.

Pierwsza ich wystawa nosiła nawet nazwę: „Wystawy Wiosennej Młodych Polskich Artystów,“ a i dzisiejsza w tym samym duchu jest urządzona. Albo więc ma być wystawą pierwszych próbek młodzieńców, stawiających nieudolne jeszcze kroki, lub też wystawą wszystkiego, co ciekawe, oryginalne, nienasiąknięte rutyną i szablonem. Jestem pewny, że to ostatnie mieli na względzie organizatorowie, a więc każdy utwór wystawiony ma charakteryzować *nowe* dążenia i usiłowania naszych artystów dla *podniesienia* sztuki.

Czyż w ten sposób, dopuszczając prace bez wartości, nie kompromituje się tego wszystkiego, co jest najwyższą cechą sztuki, największym jej ideałem, a co się nazywa twórczością niezależną? Publiczność pojęcie o prądach i kierunkach nowych łączy zwykle nie z najlepszymi, lecz z najgorszymi ich przejawami. Podług nich wyrabia sobie sąd o całym zakresie nowych dążeń i one to w oczach nieprzygotowanego artystycznie ogółu ośmieszają najlepsze usiłowania artystów i wszystko, co jest nowem i nieszablonowem. O tem organizatorowie wystaw wiosennych powinni pamiętać i nie dopuszczać do swego kółka takich, którzy nie mają żadnej do niego kwalifikacyi. W przeciwnym bowiem razie rozpadnie się najlepsza choćby organizacya. Stopniowo przybywać będą coraz to pośledniejsze żywioły, a wskutek tego lepsze się usuną lub znikną zalane miernotą.

Przyjaźń, koleżeństwo, kuzynostwo, lub nałóg siadania przy wspólnym stoliku kawiarnianym są zbyt małemi kwalifikacyami w sztuce.

Po tem zastrzeżeniu, które uczyniłem w interesie przyszłości sympatycznej Wystawy Wiosennej, mogę teraz podkreślać to głównie, co zasługuje na wyróżnienie pochlebne.

W pierwszej sali spotykamy szereg bardzo dobrych krajobrazów Kazimierza Stabrowskiego i studyów Mieczysława Dalkiewicza. Pierwszy dał kilka doskonałych efektów nastrojowych, jak bardzo silne w barwach „Złote klony o zachodzie słońca“ i „Deszcz“ z niebem o skłębionych chmurach i łanem szaro-zielonego zboża. Krajobrazy Konstantego Wróblewskiego są może dobre, ale nie dają nam nic nowego. Jest to tylko umiejętne wykonanie tych samych po raz tysiączny motywów i efektów na ten sam sposób.

Z portretów bardzo żywym i plastycznym jest portret pani W. przez Krzyżanowskiego. Drugi portret tegoż autora jest o wiele słabszy i manieryczny.

Portret Żeromskiego przez Niewiadomskiego ma wiele prawdy w układzie.

„Suchotnik“ Wojciecha Weissa posiada dużo wyrazu i umiejętnie utrzymany jest w ogólnym tonie. Dobrym typem jest portret staruszki, za to „Rondo“ i dwa krajobrazy tegoż autora daleka mniejsze budzą zainterosowanie.

Tadeusz Okoń w portrecie „Jańci i Jurka,“ którego założeniem zdaje się być efekt biało ubranych dzieci na tle również białem, nie osiągnął dobrych rezultatów. Nie ma w nim bogactwa i rozmaitości barw białych w pozornej ich jednostajności, lecz monotonność gipsowo-biała o piernikowem zabarwieniu nóżek w tym samym tonie co posadzka. Studyum rysunkowe głowy męskiej tegoż autora jest bardzo subtelne, nie pierwszy raz już jednak je oglądamy w tych samych salonach wystawy.

Dwa portrety kobiece Edwarda Okunia należą do najlepszych z całej wystawy. Józefa Czajkowskiego portret i szkice portretowe są wdzięczne w układzie.

Z rzeźby znajdujemy w tej sali kilka biustów Ostrowskiego i Jagmina.

Jan Rembowski jest młodym rzeźbiarzem, który zapowiada się dobrze mimo wszystkich dziwactw, w jakich obecnie grzęźnie. Prace jego wyrażają jakąś myśl i dążenie do wypowiedzenia czegoś, co wyraża energicznie, silnie i zrozumiale. Z chwilą pewnego zrównoważenia się wewnętrznego talentu, przepadnie przesada formy błędna i bezcelowa, która dziś pobudza widzów do śmiechu, bo rzuca im się w oczy, przysłaniając to, co jest w tych rzeźbach dobrem. Z czasem artysta się przekona, że wszystkie nieproporcyonalności i nieprawdopodobieństwa anatomiczne nie są konieczne do wyrażenia myśli, że można ich nie popełniać, a pomimo to nie być szablonowo banalnym, jak rzeźby pseudo-klasyczne. Dziś „Przewodnik“ i „Siostrzany Duch“ można uważać tylko za dobre szkice kompozycyjne lub notaty.

Po tej samej drodze kroczy Bolesław Biegas, tylko że ten zaszedł już nierównie dalej w dziwactwie i manierze. Pragnie dawać syntezy pojęć tak wielkich i nieuchwytnych, jak „Bóg,“ lub tak niejasnych, jak „Skalne przerażenie“, które jedno z pism nazwało naiwnie „szkolnem.“ Do tego potrzeba być umysłem głębokim i filozoficznym. W przeciwnym razie rezultatem takich usiłowań są jakieś dziwactwa o pretensyonalnych tytułach. Ktoś z obrońców talentu Biegasa (na talent bynajmniej nie napadam, tylko na jego zmanierowanie) może twierdzić, że tam jest jednak pewien wyraz wydobyty za pomocą bardzo prostych środków. Zapewne, ale karykatura też posługuje się bardzo prostymi środkami, a jednak jaki dobitny daje wyraz? Dzieci również rysują często z wyrazem.

I o zgrozo! prosto od maski rozciągniętej jakby z elastyki, a mającej przedstawiać „Boga,“ zwracam oczy z przyjemnością na „Flirt“ Góralczyka. Nazwę taką nosi niewielka rzeźba, przedstawiająca zetknięcie się królika z żabą przy tym samym liściu kapusty.

„I panu ten „Flirt“ więcej się podoba“— zawoła z największem zgorszeniem jakiś uroczysty estetyk, — „więc lepszym ma być ten motyw, jakby stworzony do galanteryjno-lampiarskich reprodukcyj, od tej nadzwyczanej twarzy „Boga“?!.

Tak jest, szan. panie „Flirt“ Góralczyka albo też „Marzący kot,“ któremu się wydaje, że wkoło niego krąży cały rój mysz, są pracami zupełnie dociągniętemi w zgodzie i harmonii pod względem pomysłu, charakterystyki i wykonania z samem założeniem kompozycyi. Zwierzęta te są dobrze zaobserwowane, w sytuacyach prawdopodobnych i w zestawieniu pomysłowem. Są one czemś w rodzaju ciętego i zręcznego czterowiersza Krasickiego. Tymczasem ten „Bóg“ lub to „Skalne przerażenie“ są wysiłkiem bez osiągnięcia rezultatu, są jakimś mozolnie wyrąbanym heksametrem z dziwacznych słów złożonym, w których autor nie potrafił żadnej jasnej myśli uwięzić. Mówiąc językiem brukowym: „chciał a nie mógł.“

Antoniego Kamieńskiego, Zygmunta Badowskiego i Gustawa Pilattiego spotykamy dobre rysunki portretowe. Ten ostatni dał też szereg portretów olejnych różnej wartości, z których najlepszym jest „portret Stasia.“ Studya krajobrazowe Pilattiego są silne i barwne, za to jedyna kompozycya o bardzo pretensyonalnym tytule „Przeznaczenie,“ ze śmiercią, pędzącą konno przez pola, charakteryzuje chwilę obecną sileniem się na coś, co się zwie natchnieniem, a co jak na złość niezawsze przychodzi.

Podobne usiłowania zdradził też Kazimierz Bisier, Feliks Jabłczyński i wielu, wielu innych.

Pierwszy z nich wystawił bardzo dobre „Studyum“ jakiejś kapliczki przydrożnej, ale to widocznie było dla jego ambicyi za mało, dodał więc rysuneczek, o którym bym nie wspomniał, gdyby nie tytuł uroczysty: „Cichy wiatr“... Niewiem, jakby szan. autor usymbolizował głośne wiatry, mogę jednak zapewnić, że te kilka drzewek dyletancko wykonanych w pracowni o żadnych wiatrach ani cichych, ani głośnych nie dają widzowi wyobrażenia.

Wspomniałem o tym rysuneczku jedynie dla przykładu, gdyż Bisier wystawił jednocześnie inne studyum bardzo dobre. Od takich „Cichych wiatrów" aż roi się we wszystkich salach Wystawy Wiosennej.

Te wszystkie wysiłki pretensyonalne określę frazesem, zapożyczonym z tytułu jednego z wystawionych obrazów: „O, la tristesse de tout cela..."

Tadeusza Noskowskiego studya krajobrazowe są bardzo ciekawe, ale szczególniej zwraca uwagę szereg rysunków ornamentacyjnych.

Jana Bukowskiego intarsya z drzewa jest rodzajem mozajki drewnianej tj. obrazem otrzymanym za pomocą sklejenia rozmaitych słojów drzewnych o różnorodnym charakterze i zabarwieniu. Za granicą byłaby to rzecz znana i dość powszednia, u nas jednak trzeba ją powitać bardzo życzliwie, jako jedno z pierwszych usiłowań w tym kierunku. Piękne intarsye są prawdziwemi dziełami sztuki i pomysłowości, wprowadzają bardzo dzielny czynnik zdobniczy do sztuk stosowanych. Pragnąłbym, żeby tego rodzaju usiłowania częściej się zjawiały na wystawach na równi z malowidłami i rzeźbami.

Z krajobrazami, a właściwiej z szeregami dobrych studyów krajobrazowych, wystąpili Teodor Ziomek, Stanisław Kamocki, Bronisław Kowalewski i Henryk Uziembło.

Rzeźbiarze Julian Karłowski i Stanisław Chrzanowski wystawili dobre studya.

Mamy rok czasu przed sobą do przyszłej Wystawy Wiosennej, możnaby więc coś obmyślić, coby zabezpieczyło lepiej jej poziom artystyczny.

Sierp.

SPRAWY EKONOMICZNE.

Stowarzyszenia spożywcze.

Ludwik Krzywicki: *Stowarzyszenia spożywcze, ustęp z dziejów kooperacyi.* Warszawa.

Piętrzące się wysoko stosy monografij naukowych, publikacyj urzędowych, wydawnictw peryodycznych i sprawozdań przygodnych, mnogie szeregi i kolumny cyfr — oto pokaźny dorobek myśli współdzielczej na półkach księgarskich i zarazem obraz tego obywatelstwa, które sobie w życiu gospodarczem już zdobyła. W Anglii, w Niemczech, Szwajcaryi i w Belgii ogromny odłam ludności stworzył przez organizacyę swej zakupczej siły wzorowe instytucye, będące wśród chaosu gospodarki, opartej na inicyatywie prywatnej, oazami ładu i ścisłego przystosowania społecznego wydatku energii do wysokości zapotrzebowania.

Z tego wrzenia umysłów, z którego tuż w zaraniu ery kapitalistycznej wyłonił się socyalizm utopijny i projekty reform społecznych, lśniące dla nas wciąż jeszcze mrokiem baśni fantastycznych, chętnie — choć bez wiary — i w późniejszym wieku słuchanych, pozostał jeden dorobek trwały, zdumiewający kupiecką praktycznością: kooperacya spożywcza.

Wśród licznych błędów długiego szukania drogi poomacku, zdobyła ona formę organizacyjną w Anglii — system rochdalski, dający jej możność stanowczego rozbratu z pokrewnym a tak dla niej groźnym systemem wytwórczości współdzielczej, oraz łatwość roztaczania swej władzy na dalekie kręgi. Widzimy ją w latach głodu 1848—1852 na usługach filantropii publicznej: w Belgii i w Szwajcaryi „Comités d'assistance publique" powołały do życia przez szczodre udzielanie wsparć pierwsze stowarzyszenia spożywcze; potem zaś w latach 60-ych podejmowaną i hodowaną przez rzeczników podupadającego mieszczaństwa (Schultze z Delitsch), odtrąconą przez demokratów społecznych w imię dobra klas pracujących (Lassalle), a następnie szczerze przygarniętą w długo nieprzyjaznym obozie.

Nowe zastępy gorących zwolenników budzą w dawnych podejrzenie i niechęć. Następca Schulzego z Delitsch w godności syndyka Związku niemieckich stowarzyszeń gospodarczo-zarobkowych, liberalny poseł Krüger wypowiada walkę robotniczym stowarzyszeniom spożywczym, a ludzie broniący politycznych i ekonomicznych interesów warstw pracujących, zrywają doszczętnie z tradycyami lat ubiegłych i polecają kooperatywy spożywcze, jako niezbędne dopełnienie organizacyj zawodowych. Myśl współdzielcza uszła ogromny kawał, wijąc się drobnymi, wężowymi skrętami lub w skokach przesadzając kraje, odzwierciedlając zawsze dany moment historyczny, stan ekonomicznego rozwoju swego podścieliska, nastrój umysłów, a często też, jak np. obecnie w Niemczech, wchłaniając wszystkie czynniki współczesnych walk partyjnych.

Droga ta jeszcze dokładnie zbadaną i przedstawioną nie została — choć znamy różne jej etapy. Historya kooperatyw w poszczególnych krajach znalazła już badaczy tej miary, co Miss Beatrix Webb („Ruch współdzielczy w Wielkiej Brytanii"), H. Müller („Szwajcarskie stowarzyszenia spożywcze"), R. Riehn („Stowarzyszenia spożywcze w Niemczech"), L. Bellrana („Historya kooperacyi w Belgii"), teraz zaś, wskutek zbratania się narodów, pracujących z myślą współdzielczą, przez ogólne przyjęcie pewnych form organizacyjnych (system rochdalski, związki hurtowne) przez próby zorganizowania spójni międzynarodowej między kooperatywami nastąpiło niejako ujednostajnienie ruchu, dojrzała sposobna dla syntetyka chwila ujęcia twórczą myślą rozproszonych szeregów zjawisk.

Książka p. Krzywickiego zbiera, według podziału na kraje, istniejący materyał statystyczny i przez umiejętne zestawienie uzupełniających się nawzajem źródeł daje zupełny obraz cyfrowy poszczególnych elementów, w rachunek wchodzących, liczbę zrzeszonych spożywców, wysokość zakupów, zysków, majątku stowarzyszenia itd. Te cyfry wiąże p. Krzywicki z ich ideowym podkładem i przy pomocy odpowiedniego dla każdego kraju „Standard mark," oblewa światłem, ułatwiającem ujrzenie w bilansach kupieckich świadectwa energii społecznej.

Zebrane, co do Królestwa, daty są od r. 1894 jedyną próbą zgromadzenia dokładniejszych danych o naszem zrzeszeniu spożywczem. A ma już ono swoją historyę. Idea zrzeszenia spożywczego pojawia się u nas wraz z budzącem się zainteresowaniem zagadnieniami ekonomicznemi w latach 1866—1870, wśród zamożniejszych warstw mieszczańskich. Moda, nie rzeczywiście odczuta potrzeba, była bodźcem do czynu, który wydał w końcu parę wegetujących, niedbale prowadzonych przedsiebiorstw. Około r. 1880 myśl współdzielcza ocknęła się na nowo po dziesięcioletniej drzemce. Powstają nowe stowarzyszenia spożywcze: w r. 1881 na drodze Terespolskiej i Nadwiślańskiej, w 1884 — w Suchedniowie, w 1885 — w Zawierciu i w Żyrardowie, w 1886— w Dąbrowie Górniczej, w 1887 — na kolei Dąbrowskiej, w 1888— w Kielcach i na drodze W.-Wiedeńskiej. W 24 kooperatywach, które nadesłały sprawozdania (urzędowa statystyka za r. 1902 zna ich 44) znajduje się około 8,700 zrzeszonych spożywców, a w r. 1902 obrót w 20 z pośród nich wynosił około $1^1/_2$ mil. rubli. Z warstw mieszczańskich przeszła myśl współdzielcza do drobnourzędniczych i robotniczych, ale nie otrzęsła się jeszcze z dawniejszych naleciałości. Przeważa więc typ spółki akcyjnej i znaczna część obrotu przypada na zakupy osób postronnych — za granicą prawnie lub zwyczajowo od zakupów wykluczonych. Rozwój przemysłu stworzył i u nas warstwę, która jest na Zachodzie przedstawicielką ruchu kooperacyjnego, lecz ciąży na niej przeszłość, utrudniająca zrozumienie wartości organizacyi demokratycznej.

Przejście od spółki akcyjnej do rzeczywistego zrzeszenia, jako chwila przełomowa w rozwoju współdzielczości dla poszczególnych krajów, oraz charakterystyka form organizacyjnych znalazły w pracy p. Krzywickiego należyte uwzględnienie. Lecz pomimo nader starannego ułożenia cyfr, co wiele czasu i trudu kosztować musiało, ponieważ w części historycznej posługuje się niewolniczo pracami, które wyszły od siebie niezależnie i były pisane przez ludzi różniących się pojmowaniem, temperamentem, punktem widzenia i szerokością obejmowanych horyzontów, przeto kreślone przez niego obrazy *nie* zlewają się w umyśle czytelnika w jedną całość. Dla przyszłego historyka myśli współdzielczej książka p. Krzywickiego jest bardzo cennym podręcznikiem, ułatwiającym zoryentowanie się w bogatym materyale opisowym i cyfrowym, dla czytelnika, szukającego nie faktów, lecz pobudki i myśli, jest niedość pouczająca, miejscami zaś, jak np. w rozdziale o Francyi, w dziejach poszczególnych stowarzyszeń, nieprzedstawiających żadnych cech indywidualnych, nawet nużąca nieco.

W ostatnich rozdziałach, będących próbką syntezy, podniesiona jest kwestya możności dalszego rozwoju stowarzyszeń spożywczych przez pogłębienie i rozszerzenie zakresu ich działalności. W konieczności poprzestawania na produkcyi towarów jednostajnie a masowo wytwarzanych, na rynkach miejscowych, widzi p. Krzywicki naturalną tamę ich rozwoju, bo np. „różnorodność gustów w perkalikach jest tak znaczna, że nawet największe ze stowarzyszeń spożywczych Anglii, w tej liczbie i związki hurtowne, nie zdołałyby własną produkcyą zaspokoić wymagań swych członków." Ależ już teraz potężna liczba spożywców zrzeszonych — w Anglii i w Niemczech kooperatywy mają już blizko 9 milionów odbiorców, licząc z rodzinami — przedstawia nawet dla najbardziej wyspecyalizowanego przedsiebiorstwa możność oparcia swego istnienia wyłącznie na kooperatywach, a solidarność międzynarodowa zrzeszonych spożywców ułatwia współdzielczym fabrykatom zbyt w kooperatywach zagranicznych.

O wiele ważniejszą od wymienionej przeszkodą jest małe wogóle zapotrzebowanie fabrykatów przemysłowych wśród warstw robotniczych. Analiza budżetu robotniczego wykazuje, że rodzina robotnicza wydaje 80% zarobku na mieszkanie, żywność, opał i światło, a tylko 20% na fabrykaty. Wytwory przemysłowe tak małą odgrywają rolę w budżecie robotnika, że nawet zupełne uchylenie zysków wytwórcy prywatnego tej sferze jego spożywców znaczniejszej korzyści oddać nie może. Renta gruntowa, nie zaś zysk od kapitału ciąży na uboższych spożywcach — nawet możność zaspokojenia wszystkich zapotrzebowań we własnych warsztatach nie zdoła całkiem zmienić warunków ekonomicznych ich bytu. Przetwórcza działalność stowarzyszeń spożywczych kres swój rychły znajduje nie w kaprysach mody lub w psychologii zapotrzebowania, lecz w twardej konieczności wydawania przeważnej części dochodów na opędzenie najniezbędniejszych potrzeb życiowych.

Obecnie w krajach najbardziej przemysłowych Europy, posiadających najlepiej zorganizowane kooperatywy, jak Wielka Brytania, Niemcy, Szwajcarya, ujawniają się tendencye podniesienia ceł na artykuły żywności, co dla rozwoju kooperatyw nie mniej jest groźne, niż istnienie w nizinach społecznych zastępów ludzi niszczonych przez nędzę, niepewnych jutra, którzy nie garną się do kooperacyi, lub brak „pobudki wewnętrznej, wymagającej od spożywców pewnego poziomu wykształcenia, względnie nienajgorszego uposażenia materyalnego, a jednocześnie niezbyt wielkich dochodów, wreszcie wyszkolenia w samorządzie" (str. 369). Nagłe podrożenie artykułów żywności, wywołane łakomstwem agraryuszów, odkrywa syzyfowy charakter czysto gospodarczych organizacyj i dlatego godzić się musimy z p. Krzywickim, że mimo ważnych funkcyj społecznych i ekonomicznych, jakie zrzeszenia spożywcze wszędzie spełniać mogą, nie należy ustawać w działalności i na innych polach.

Helena Gumplowicz.

MIĘDZYNARODOWY RYNEK PRACY.

Miesiąc maj w tym roku przyniósł daleko pomyślniejsze widoki, niż w zeszłym. W Niemczech poprawa stosunków na rynku pracy nie ulega zaprzeczeniu. W Anglii, jakkolwiek nie ziściły się obawy zmniejszenia się stanu zajęć w niektórych gałęziach przemysłu, to jednak nie można uznać położenia ogólnego za zadawalające. Liczba pozbawionych zajęcia z 4,3% spadła wprawdzie na 4,1%, lecz w porównaniu z tym samym okresem czasu roku zeszłego jest jeszcze o 3,9% wyższą, niż w 1902 r. Zastój ogarnął głównie przemysł żelazny, fabryki maszyn i budowy okrętów, gdzie w dalszym ciągu zamówienia napływają bardzo słabo. Nizki stan rynku pracy odbija się też na przemyśle węglowym. Małe zapotrzebowania wywołały konieczność zniżenia cen węgla. W przemyśle tkackim natomiast, od kilku miesięcy zauważona, poprawa utrzymuje się w dalszym ciągu; osłabienie czynności w tej gałęzi pracy zanotowane na zachodzie Niemiec, okazało się prawie wszędzie nieprawdziwem. We Francyi liczba pozbawionych zajęcia wynosi 9%, tylko w porównaniu z 11% roku zeszłego; co jednak jest dowodem zawsze jeszcze niepomyślnego stanu rzeczy na rynku pracy. Nawet w najlepiej pod tym względem postawionych dziedzinach zajęć niema dostatecznego ożywienia. W Austryi nie utrzymał się ruch początkowy i zapotrzebowanie na rynku pracy znacznie się zmniejszyło. Pod tym względem w Stanach Zjednoczonych zapanowały wprost niepokojące stosunki. Przyczyną tego są głównie nieustanne nieporozumienia pomiędzy pracującymi i pracodawcami, które przybierają coraz ostrzejszy charakter. Zima i śnieg na wschodzie Stanów Zjednoczonych spowodowały w wielu okolicach pogorszenie warunków pracy na roli i w przemyśle, gdy tymczasem na Zachodzie piękna wiosna przyniosła znaczną poprawę stosunków w tym względzie. Ogólnie jednak biorąc, pomimo częściowej stagnacyi i niepokająco stan rzeczy po miesiąc maj roku bieżącego przedstawia się daleko pomyślniej, niż w roku zeszłym i zaprzeszłym.

NA MARGINESIE.

Nowy mikroskop. W ciągu ostatnich 3-ech dziesięcioleci mikroskop został ulepszony w zupełnie nieoczekiwany sposób, zwłaszcza z powodu ważnych zmian, wprowadzonych przez profesora Abbé, kierownika firmy Karola Zeissa w Jenie. Podniesiono sprawność mikroskopu do tego stopnia, że zdawało się, iż osiągnięto najwyższą możliwą granicę powiększenia. Helmholtz i Abbé na drodze teoretycznej dowiedli matematycznie, że powiększenie za pomocą mikroskopu ma granice i nie może się podnosić do nieskończoności. Ta granica tem się warunkuje, że wskutek załamywania światła przedmioty, których wymiary przechodzą granice pewnego minimum, z powodów czysto optyczno-fizycznych, nie mogą dać żadnego obrazu, ponieważ niema tak silnego powiększenia, któreby uczyniło je widzialnymi.

Dla łatwiejszego zrozumienia tego, cośmy powiedzieli, użyjmy następnego porównania, które nam sprawę wyjaśni w przybliżeniu. Wiadomo, że światło polega na poruszaniu się fal eteru świetlanego. Zastosujmy do nich objawy, spostrzegane na innych większych falach, np. na falach wodnych. Wrzucając kamyki do wody w prawidłowych niewielkich odstępach czasu, wytwarzamy system fal. Wyobraźmy sobie, że w pewnym odstępie od ich centrum umieszczono kij, o który fale naturalnie będą się częściowo rozbijały. Jeżeli kij jest bardzo mały, fale po za nim tworzą się nanowo. Wyobraźmy sobie, że mamy do czynienia z falami eteru, a wtedy zrozumiemy, że bardzo małe przedmioty warunkują tworzenie się po za nimi fal świetlnych, co uniemożliwia otrzymanie obrazu nawet przy najsilniejszych powiększeniach. Helmholtz i Abbé obliczyli, że minimalne pole widzenia wynosi połowę długości fali światła, to znaczy prawie $^1/_{5000}$ milimetra. Ponieważ używane dotychczas mikroskopy pozwalają widzieć przedmioty ściśle określone powyższą granicą, przeto w kołach naukowych przyjęto, że działalność mikroskopu prawie nie może być spotęgowana. Tem większe zainteresowanie musi wywołać fakt, że dwom fizykom udało się niedawno umożliwić widzenie przedmiotów, prawie o 100 razy mniejszych od przyjętych dotychczas za minimalne, przez wprowadzenie specyalnego i nader dowcipnego ulepszenia.

Badania zostały przeprowadzone w Jenie przez fizyków Szigmondy'ego i Siedentopfa, którzy zajmowali się przygotowaniem t. zw. złoto-rubinowych szkieł, otrzymywanych przez stopienie niewielkiej ilości złota ze szkłem i powolne ochładzanie tej masy. Przezroczyste, bezbarwne szkło przy stopniowem ochładzaniu zaczyna przybierać kolor rubinu. Takie szkło rubinowe, jak to już zauważył Faraday, posiada własności rozsiewania światła. Promienie słoneczne, padające przez soczewkę na szkło rubinowe, tworzą w tej masie nieprzezroczystej stożek świetlny, podobny do stożka utworzonego przez cząsteczki pyłu, oświetlone wpadającym do pokoju promieniem słonecznym. Już Faraday wywnioskował, że w ten sam sposób w szkle rubinowem zawieszone są najdrobniejsze, podobne do pyłku, cząsteczki złota. Jednak dotychczas nawet za pomocą najlepszych mikroskopów nigdy nie udało się stopić w szkle rubinowem takich cząstek, a tymczasem Szigmondy i Siedentopf dojrzeli je, wprowadzając światło do mikroskopu inaczej, niż to dotychczas czyniono. Zwykle nakierowywa się światło wprost na oś mikroskopu. Drobne cząstki przedmiotu obserwowanego w ten sposób tworzą ciemne punkty na jasnem polu widzenia. Na tem urządzeniu polega określona przez Helmholtza i Abbé granica działalności mikroskopu. Szigmondy i Siedentopf nakierowywali promienie nie wzdłuż osi mikroskopu, lecz prostopadle do niej, tak że żaden z nich nie mógł bezpośrednio wpaść do mikroskopu. Skutek jest ten, że na wszystkich cząsteczkach ciała, znajdujących się w polu widzenia, światło jest załamane, to znaczy, że jak tylko padnie na najmniejszą cząsteczkę, rozchodzi się od niej we wszystkich kierunkach i wskutek tego staje się ona samoświecącą. Wszystkie te samoświecące cząstki wyglądają jak gwiazdy na ciemnem niebie. I rzeczywiście, kiedy obserwujemy w takiem oświetleniu szkło złoto-rubinowe, mamy to samo wrażenie, jak przy spoglądaniu na usiane gwiazdami niebo. Widzimy ciemne tło i na niem jasno świecące się punkciki, których śladu nawet nie możemy się dopatrzyć przez zwykły mikroskop.

Z powyższego opisu wynika, że przy takiem urządzeniu niemożliwe jest rozpoznanie kształtów przedmiotu. Widzimy tu tylko jeden punkt: zupełnie tak samo, jak najjaśniejsze gwiazdy stałe, które są tem wyrazistszymi punktami, im silniej powiększa dalekowidz (teleskop) i im instrument jest optycznie doskonalszy. Nie należy przeto myśleć, że przedmioty, widziane w nowym mikroskopie, nawet w przybliżeniu są podobne do tych, któreśmy zwykli oglądać przez mikroskop.

Badania przy pomocy nowego mikroskopu możliwe są tylko w pewnych granicach. Najpierw, oglądane cząsteczki muszą się znajdować w niejakiej odległości jedna od drugiej, aby mogły być rozpatrywane, jako punkciki świetlne. Jeżeli znajdują się bliżej, niż na to pozwalają punkty graniczne Abbégo i Helmholtza w zwykłym mikroskopie, wtedy przestajemy je rozróżniać pojedynczo. A więc granica ta została zachowaną i dla nowego mikroskopu, tyczy się jednak nie samego przedmiotu, lecz odległości wzajemnej dwóch przedmiotów.

Drugie ograniczenie w doświadczeniu jest następujące: cząsteczka tem więcej załamuje światło i tem większą jego ilość skierowuje do mikroskopu, im większą jest jej powierzchnia. Jeżeli natomiast cząsteczki są za małe, to światło wysłane przez nie do mikroskopu będzie za słabo natężone i nie dosięgnie granicy wrażliwości oka. Wynika stąd, że siła nowego mikroskopu zależy wyłącznie od jasności źródła światła. Szigmondy i Siedentopf w nader zręczny sposób podnieśli jego natężenie do *maximum*, zbierając na bardzo małej przestrzeni światło słoneczne za pomocą systemu kondensatorów. Wykonywali oni swoje doświadczenia także przy świetle elektrycznem, łukowem, nie z takiem jednak powodzeniem, jak ze światłem słonecznem.

Dotychczas Szigmondy i Siedentopf poprzestali na wynalezieniu metody do uwidocznienia cząstek złota w szkle rubinowem i byli w stanie stwierdzić przewidziane przez Faraday'a rozmieszczenie cząstek złota w szkle rubinowem. Najmniejsze cząstki, które udało się dostrzedz badaczom, podług dokonanych przez nich obliczeń, mają $^4/_{1000000}$ mil. w przecięciu. Naturalnie zastosowanie nowego mikroskopu nie jest ograniczone tylko do tego badania.

Trudno jeszcze dzisiaj ocenić doniosłość tego odkrycia dla nauki, szczególniej dla chemii i medycyny. Co się tyczy tej ostatniej, sądzimy, że nastąpił czas, kiedy będzie można dojrzeć te z istot, znanych pod nazwą drobnoustrojów chorobotwórczych, które z powodu swej małości były dotąd niedostrzegalne dla oka badacza.

PRASA ROSYJSKA

Finlandzkaja Gazeta, ogłaszając Najwyższe rozporządzenie o obostrzeniu swobody używania broni palnej w Finlandyi, dodaje od siebie co następuje:

„Powodem i zasadą do wydania prawa obostrzającego był brak wszelkich w tym względzie przepisów w Finlandyi, regulujących dowóz broni wojskowej i ładunków, jak również dozor nad sprzedażą tych ostatnich, oraz dynamitu i innych materyałów wybuchowych.

Dowóz broni palnej, przydatnej wyłącznie do celów wojskowych, wzbroniony jest od tej chwili. Rozporządzenie to jest bardzo słuszne, nie należy bowiem pozwalać, aby przestępcy polityczni mieli możność zaopatrywania tłumu w broń, przy wszelkich możliwych w ostatnich czasach rozruchach.

Ożywione w ostatnich czasach ćwiczenie się młodzieży w strzelaniu do celu, pod kierunkiem

osób skompromitowanych politycznie, przytem wyłącznie z broni wojskowej, jak również stwierdzenie faktu wzmożonego propagowania tego sportu przez wielu przewódców agitacyi, przekonały generał-gubernatora o konieczności zaprowadzenia dozoru nad dowozem i sprzedażą broni, oraz nad organizowanemi w miastach i powiatach ćwiczeniami strzelniczemi. Zarządzenie to miało więc na celu jedynie ograniczenie prywatnego posiadania oręża, potrzebnego wyłącznie do celów wojskowych, i bynajmniej nie dotyczy praw ludności spokojnej do posiadania broni myśliwskiej i rewolwerów, tj. takiej, jaka obchodzić może ludzi lojalnych. W każdym kraju, a osobliwie w Finlandyi, wobec panującego w niej fermentu, istnieje zawsze dostateczny zastęp skrajnych żywiołów politycznych, marzących o zmianie istniejącego porządku rzeczy przy pomocy oręża i zbrojnego zawichrzenia. Właśnie przeciwko tym ludziom i dla dobra Finlandyi skierowane jest obostrzenie."

KRONIKA.

Z państwa bojaźni bożej. W Zabrzu, na Górnym Śląsku, zdarzyła się powtórna napaść policyi pruskiej na bezbronny tłum polskich wyborców. Dnia 26 czerwca w oknie redakcyi *Wanderera* wywieszony został obrachunek głosów, z którego się dowiedziano, że dotychczasowe szanse wypadły na korzyść centrowca. Liczny tłum przeciągał przed oknami, zachowując wzorowy porządek.

Nagle pokazały się plakaty z obliczeniem głosów ostatecznych, z którego się pokazało, że zwycięztwo odniósł kandydat narodowy, Wojciech Korfanty. „Prąd dzikiej radości przeleciał po rozgorączkowanym tłumie — pisze nasz korespondent. — Z piersi tłumu wyrwał się potężny okrzyk: Niech żyje Korfanty!"

Wtedy plakaty w oknie *Wanderera* spadły, a z ulicy bocznej nadbiegł z obnażonemi szablami zastęp policyantów, siekąc bezbronnych. Tłum poraniony wył, bronił się, wreszcie rozproszył się.

Oto nowy obrazek z „państwa bojaźni bożej i dobrych obyczajów."

Wiadomości społeczne. Sprawozdanie miejskiego wydziału statystycznego wykazuje, że w końcu 1902 r. ludność Warszawy wynosiła 736,625 osób, a w tej liczbie 417,583 katolików, 263,824 żydów, 36,219 prawosławnych, 19,612 ewangelików i 397 mahometan.

— Ogłoszona została Najwyżej zatwierdzona uchwała Rady państwa z d. 2 (15) czerwca o zniesieniu golenia głów, chłosty i przykuwania do taczek przestępców, skazanych na ciężkie roboty lub osiedlenie w Syberyi. Natomiast, zależnie od ważności przestępstwa, ustanowiono przedłużenie terminu ciężkich robót lub więzienie celkowe z odjęciem co pewien czas gorącej strawy.

— D. 28 i 29 czerwca odbył się we Lwowie zlot „Sokołów," w którym wzięło udział około 6,000 stowarzyszonych z różnych krajów.

— D. 30 lipca otworzona będzie w Paryżu międzynarodowa wystawa mieszkań, która ma dać obraz obecnego ich stanu oraz wzór, jakiemi być powinny pod względem wygody, hygieny, elegancyi i bezpieczeństwa.

— Katolickiemu Tow. dobroczynności w Petersburgu pozwolono na otworzenie wydziału opieki lekarskiej dla ubogich.

— W Wilmington, miejscowości oddalonej o 3 godziny jazdy kolejowej od Nowego-Yorku, a godzinę od Filadelfii, tłum, złożonego z 2,000 osób, natarł na więzienie. Policya strzelała, została jednak rozbrojona, a wtedy wyprowadzono z więzienia murzyna, który, dopuściwszy się gwałtu na córce pastora, zabił ją i zakopał. Winowajcę, wśród bicia, zaniesiono na miejsce zbrodni i tu spalono na zaimprowizowanym stosie. W chwili, gdy murzyn na pół już był spalony, rozpoczęto strzelać do niego z karabinów. Po dokonaniu zemsty, tłum rozszedł się spokojnie.

Z Poznańskiego. P. Fr. Wojciechowski, redaktor *Wiarusa polskiego* został skazany na 3 miesiące więzienia za artykuły zamieszczone w *Gaz. Toruńskiej* w sprawie karania dzieci polskich przez pastora Nimza, oraz o procesie gimnazistów.

Szkoły i wychowanie. Ministeryum oświaty zawiadomiło kuratora warszawskiego okręgu naukowego, że dla kobiet, które po skończeniu gimnazyum nie mają jeszcze lat 20, dających prawo do instytutu medycznego, utworzone zostały osobne kursa nauk przyrodniczych.

— Ministeryum oświaty rozporządziło, ażeby świadectwa o sprawowaniu się kończących gimnazya kandydatów do wyższych zakładów naukowych, obejmowały dokładny spis kar, nałożonych w ciągu ostatnich trzech lat, z wyszczególnieniem wykroczenia, które wywołało karę.

— W niektórych gimnazyach warszawskich zamierzono wprowadzić naukę pływania dla uczniów.

— Liczbę miejsc na kurs pierwszy w Politechnice warszawskiej oznaczono: na wydziale mechanicznym i inżeniersko-budowlanym 60, na chemicznym 50, na górniczym 40. Podania o przyjęcie przyjmowane będą do 13 lipca r. b. Egzaminy konkursowe rozpoczną się 31 sierpnia. Na kursa wyższe z powodu braku miejsca nowi kandydaci nie będą przyjmowi.

— Przy seminaryum nauczycielskiem w Swisłoczy otworzono kursa gospodarstwa rolnego dla nauczycieli wiejskich.

— Wdowa po Janie Tereszczence ofiarowała 30,000 rb. politechnice kijowskiej, na utworzenie trzech stypendyów imienia jej męża, i wyraziła chęć składania corocznie przez lat pięć po 15,000 rb. na utrzymanie szkoły artystyczno-przemysłowej, na którą mąż jej ofiarował 200,000 rb.

— Katolicka szkoła parafialna św. Katarzyny w Petersburgu zaliczona została do II kategoryi przywilejów przy odbywaniu wojskowości dla kończących ją wychowańców. Uczniowie klas wstępnych otrzymają przywileje III rzędu.

— Ministeryum oświaty zawiadamia, że osoby, które ukończyły średni zakład naukowy, przy składaniu egzaminu dojrzałości, nie mogą być zwolnione z języka cerkiewno - słowiańskiego jako przedmiotu, wchodzącego w zakres czterech niższych klas gimnazyalnych. Osoby postronne, uwolnione są od egzaminów z 6 klas gimnazyalnych tylko wówczas, gdy składały ten egzamin najwyżej na 2 lata przed egzaminem dojrzałości, wszystkie zaś inne muszą zdawać z całego kursu gimnazyalnego.

— W seminaryum nauczycielskiem w Nieświeżu otworzono kursa pedagogiczne dla nauczycieli szkół parafialnych.

— Rada miejska w Szawlach postanowiła założyć 7-klasową szkołę handlową z prawami średnich zakładów naukowych.

— „Macierz szkolna" w Cieszynie ogłosiła konkurs na dwie posady nauczycieli filologii klasycznej, nauczyciela języka polskiego oraz matematyki i fizyki.

Wiadomości naukowe. Z Dortmunt, w Norwegii, pod wodzą kapitana Zieglera, odpłynęła amerykańska wyprawa podbiegunowa. Zamierza ona wynaleźć na ziemi Fr. Józefa przystań dogodną, urządzić w niej skład żywności i stamtąd w zimie podążyć dalej na północ.

Ze sztuki. Na konkursie ogłoszonym przez wydział krakowskiego Towarzystwa „Polska sztuka stosowana" na projekt domu szkolnego o charakterze polskim, z pośród 22 wzorów nagrodę 600 koron otrzymał p. Ludwik Wojtyczko z Krakowa. Wyróżniono nadto dwie prace oznaczone godłami „oko" i „Piędź."

Zdrowie publiczne. Ministeryum spraw wewnętrznych podjęło sprawę walki z gruźlicą; w tym celu zbierane są w całem państwie informacye o istniejących już uzdrowiskach dla tego rodzaju chorych.

Sprawy ekonomiczne. Zatwierdzony został „Pierwszy Związek warszawski fabrykacyi obuwia," którego członkami mogą być osoby płci obojej powyżej lat 17 bez różnicy wyznania. Stowarzyszony wnosi 25 rb. składki i nie może przyjmować roboty po za związkiem. Podział zysków obliczany będzie co miesiąc, przyczem członkowie otrzymywać mogą do rąk nie więcej, jak 40 rb. Jeżeli stowarzyszony w ciągu miesiąca nie stawi się do roboty skutkiem choroby lub innych ważnych powodów, wypłata zarobku nie ulega przerwie, jeżeli zaś nieobecność trwa dłużej niż miesiąc, to za czas pozostały, do trzech miesięcy, płaca, chociaż jest wydawana w całkowitej wysokości w połowie uważana jest za pożyczkę, która ma być spłacana ratami, według uchwały zebrania ogólnego; po upływie trzech miesięcy członek taki wykreślony zostaje z listy. W razie śmierci stowarzyszonego należne mu pieniądze wydawane są rodzinie.

— Z powodu odbywających się w misteryum skarbu narad nad projektem poprawy i rozszerzenia dróg komunikacyjnych w całem państwie, zażądano od gubernatorów w Królestwie Polskiem zbioru praw i ustaw o powinnościach drogowych, sprawozdania o stanie istniejącybh dróg oraz wyciągów postanowień gubernialnych komitetów rolniczych. Według projektu ministeryum, w guberniach nieposiadających instytucyj ziemskich, ma być utworzona przy ministeryum spraw wewnętrznych osobna narada dla zawiadywania nietylko drogami szosowemi i gruntowemi, ale nawet kolejami wązkotorowemi i podjazdowemi; będzie ona miała prawo wydawać pozwolenia na urządzanie wszelkiego rodzaju komunikacyi miejscowej oraz kolejek podjazdowych, na warunkach koncesyi, lub budować je z funduszów drogowych, eksploatować sposobem gospodarczym i oddawać w dzierżawę osobom postronnym. Do pomocy radzie centralnej mają być utworzone komisye gubernialne, do których mają należeć osoby fachowe, znające się na budowie dróg szosowych i gruntowych, oraz na prowadzeniu gospodarstwa i budowie kolei podjazdowych. Nadto do udziału w komisyach gubernialnych mają być zaproszeni okoliczni właściciele ziemscy. Zakres działalności i obowiązków powinien odpowiadać projektowanym komisyom drogowym w guberniach ziemskich, z tą jednak rożnicą, że niektóre sprawy, załatwiane na miejscu, na mocy postanowień ogólnych zebrań ziemskich, w guberniach, nieposiadających ziemstw, będą podlegały przedstawieniu do zatwierdzenia rady głównej.

— Oddział mohylowski Cesarskiego Towarzystwa ogrodniczego urządza w jesieni r. b. wystawę pszczelniczo-ogrodniczą, połączoną ze zjazdem specyalistów.

Koleje i komunikacye. Na odbytym w Petersburgu zjeździe naczelników ruchu postanowiono, ażeby dla większości posad kolejowych obowiązywał cenzus wykształcenia, dający ulgi wojskowe II kategoryi, dla posad zaś naczelników stacyj I i II klasy, ich zastępców, kasyerów towarowych, samodzielnie zarządzających biurami ekspedycyi, ma być wymagane wykształcenie, dające ulgi wojskowe I kategoryi. Jednocześnie zjazd uznał za nader pożądane dopuścić kobiety do posad kolejowych w jak najszerszym zakresie, pod warunkiem jednak, aby posiadały patent z ukończenia szkół średnich.

Katastrofy. Wezuwiusz znów jest czynny.

— We wsi Brynicy, pow. Kilecki, zgorzało 180 zabudowań włościańskich.

— W Mstyczowie (pow. Jędrzejowski) piorun uderzył w kościół podczas nabożeństwa. Ośm osób zostało porażonych, jeden chłopiec zabity.

— Uczniowie gimnazyum zurychskiego, odbywający pod wodzą nauczycieli, Groeblego i Vodoza, wycieczkę w góry, zostali zasypani lawiną. Groebl i kilku uczniów ponieśli śmierć na miejscu, Vodoz i jeden z młodzieńców zostali ciężko pokaleczeni, inni ucierpieli mniej lub wyszli cało z katastrofy.

— Pomiędzy Bilbao a Saragossa, w Hiszpanii, pociąg „express," składający się z dwóch lokomotyw i 18 wagonów, przejeżdżając przez most, na rzece Majerilla, spadł z wysokości 15 metrów; 111 osób zginęło na miejscu, 140 zostało ciężko ranionych, a zaledwie 6 podróżnych wyszło cało.

— W Heppner, w st. Oregon Ameryki Północnej, zginęło około 300 ludzi skutkiem powodzi spowodowanej oberwaniem się chmury. Kilkaset domów i mnóstwo zwierząt uniosły fale lub zniszczyła wichura.

Zmarli. Wojciech Urbański, b. profesor fizyki i dyrektor biblioteki w uniwersytecie lwowskim, w 84 roku życia.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu R. Br. Niektóre są tłomaczone: wskazać ich dokładnie jednak nie możemy. Rady, zdaje się, niema na to, co Pana spotkało. Zwykle ogłaszają w pismach, kto, jakie dzieło tłomaczyć się zabiera.

Pani Początowskiej w Owruczu. Całość „Historyi filozofii" Kirchnera kosztuje z przesyłką rb. 2 k. 30

Panu Parczewskiemu w Łomży. Ostatni zeszyt gotowiśmy wymienić. Panu na którekolwiek z wydawnictw „Wieku XIX,“ gdyż zeszytów dopełniających Kirchnera nie posiadamy. Całość dzieła „Historyi filozofii“ F. Kirchnera kosztuje z przesyłką rb. 2 k. 30.

OFIARY

— A. Letowt z Petersburga: na kolonie letnie rb. 25, na sanatoryum dla suchotników rb. 25.

O listy Słowackiego.

Szanowny Redaktorze!

Posiadając oryginały wszystkich prawie listów Juliusza Słowackiego do matki, mogłem był przystąpić do pełnego i dokładnego wydania tej korespondencyi.

Jakoteż wydanie to z objaśnieniami, po raz pierwszy z autografów poety dokonane, wyszło przed kilku laty w dwóch tomach nakładem księgarni polskiej we Lwowie i znajduje się wszędzie w handlu księgarskim.

Lecz po za listami Słowackiego do matki, istnieją jeszcze dość liczne listy, do przyjaciół i znajomych pisane, które znajdują się w różnych instytucyach publicznych i zbiorach prywatnych. Te rozproszone po świecie pamiątki rękopiśmienne wielkiego poety, zebrałem w odpisach wiernych lub w odbitkach fotograficznych i przygotowałem do druku tom trzeci jego korespondencyi.

Nie udało się odzyskać, ani odszukać listów do Zofii Michałowej Balińskiej, Cezarego Platera, Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, późniejszego arcybiskupa warszawskiego, do Cypryana Norwida, wielu listów do Zygmunta Krasińskiego i do innych osób, z któremi Słowacki mógł pozostawać w stosunkach przyjaznych lub chwilowego interesu.

Pragnąc zaś tom trzeci korespondencyi jak najpełniejszym uczynić, zwracam się za łaskawem pośrednictwem *Prawdy*, do czytającego ogółu z prośbą o nadesłanie mi wiadomości o znajdujących się gdziekolwiek własnoręcznych listach Słowackiego w całości, w urywkach lub też o ich kopiach. Każdą taką wiadomość przyjmę z wdzięcznością, gdyż posłużyć ona może do uzupełnienia przygotowanego obecnie zbioru w granicach możliwej dokładności.

Wiadomość przesłać można wprost do redakcyi *Prawdy* lub też pod adresem moim w Warszawie Włodzimierska nr. 6.

Leopold Méyet.

Warszawa, d 30 czerwca 1903 r.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca A. Dembowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 19 Іюня 1903 г. Warszawa. Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.